

PO CO
„OPCJA BENEDYKTA”

WŁODZIMIERZ
ZATORSKI OSB

PO CO
„OPCJA BENEDYKTA”

Redakcja
ALDONA SKUDRZYK

SPIS TREŚCI

WPROWADZENIE	7
CO TO JEST DUCHOWOŚĆ?	11
Kim się stajemy?	11
Tożsamość w sercu	20
Życie w Duchu Świętym	24
WALKA DUCHOWA – OSIEM DUCHÓW ZŁA.....	35
<i>Logismoi</i> – myśli, które przychodzą	35
Porządek działania złych duchów	44
Dwa etapy życia duchowego i walka duchowa w nich.....	57
Osieć demonów, czy siedem grzechów?	66
FUNDAMENTY ŻYCIA DUCHOWEGO.....	73
Filary życia.....	82
Potrzeba wspólnoty	99
Potrzeba reguły życia	105
ROZEZNANIE DUCHOWE.....	113
Po owocach poznacie.....	113
Duch i ciało	118
Wiara i jej owoce	125
Duchowa walka.....	131
Jak poznać po owocach?	139
Praca nad czystością serca	144

SZKOŁA SŁUŻBY PAŃSKIEJ DLA WSZYSTKICH	151
Wstęp.....	151
Czy naprawdę szuka Boga.....	158
Założmy „szkołę służby Pańskiej”	179
Mnisi dla świeckich	192

WPROWADZENIE

„Opcja Benedykta” – co to takiego? To droga wyjścia, jaką św. Benedykt wskazał ludziom w momencie załamania się cywilizacji Imperium Rzymskiego. Urodził się on, jak to powiedział Jan Paweł II:

W epoce głębokich przemian, kiedy dawny porządek rzymski chylił się już ku upadkowi i rodziło nowe społeczeństwo pod wpływem nowych ludów, jakie się pojawiły na horyzoncie Europy (Nursja 23 marca 1980).

Jego odpowiedź jest inna niż ta, jaka się nam najczęściej nasuwa, czyli włożyć wszystkie siły w głoszenie Ewangelii i Chrystusa na wszelki możliwy sposób, uruchomić siły społeczne do reformy, tworzyć organizacje i środowiska propagujące chrześcijaństwo i jego wartości, walczyć o idee i zasady życia, jakie obecnie podważają ludzie całkowicie zlaicyzowani, walczyć politycznie, używając wszystkich możliwych środków. Odpowiedź św. Benedykta była zupełnie inna. Benedykt XVI napisał o nim:

Benedykt nie założył instytucji monastycznej, mającej na celu głównie ewangelizację narodów

barbarzyńskich, jak inni wielcy mnisi misjonarze tamtych czasów, lecz wskazał swym uczniom jako główny, co więcej – jedyny cel istnienia – szukanie Boga: „Quaerere Deum” (10.07.2005).

Propozycja św. Benedykta idzie zatem w zupełnie innym kierunku: sami odnajdźmy żywą więź z Bogiem przez Jezusa Chrystusa, naszego Pana. Szukajmy Boga w naszym życiu i pokażmy ludziom, jak można Go szukać i znajdować, a przez to naprawdę odnaleźć siebie! Jest to droga osobistej duchowej przemiany, a nie zewnętrznej walki o społeczne uznanie idei i wartości. Konkretnie sprowadza się ona do budowania wspólnot, gdzie można rzeczywiście doświadczyć prawdziwości słów Jezusa: *oto Ja jestem z wami przez wszystkie dni, aż do skończenia świata* (Mt 28,20). Nie można bowiem autentycznie głosić Ewangelii, jeżeli się jej nie doświadczy i nie żyje nią na co dzień. Stąd niezmiernie ważne jest doświadczenie uzyskane przez wprowadzenie w pełnej rozciągłości Ewangelii w swoje życie i poznanie, czego ona w nas dokonuje. Stąd myśl o założeniu wspólnoty, która stara się traktować Ewangelię jako regułę życia i nią żyć – idea, która przyświecała św. Benedyktowi i którą wyraził w postaci *Reguły dla mnichów*.

Nie jest to propozycja łatwa do przeprowadzenia, gdyż wymaga głębokiej refleksji nad tym, co konkretnie oznacza wprowadzenie zasad

Ewangelii w życie. Przez całe stulecia starały się to realizować wspólnoty życia konsekrowanego z różnym powodzeniem. Dzisiaj wydaje się jednak, że założenie kolejnego klasztoru monastycznego lub zakonu nie jest łatwe, a może nawet wprost niemożliwe. Ponadto nie wiadomo, czy byłoby to sensowne dzisiaj? Dlatego myśl stworzenia wspólnoty szerszej, otwartej nie tylko na tych, którzy chcieliby ślubować życie monastyczne ze wszystkimi rygorami z tego wynikającymi, ale wspólnoty obejmującej także świeckich, którzy chcieliby w takiej wspólnocie uczestniczyć. Dzisiaj widać, że takie pragnienie odzywa się w sercach wielu ludzi świeckich żyjących czy to w rodzinach, czy samotnie.

Zdajemy sobie sprawę z nowości tej myśli w Polsce, choć na świecie takie wspólnoty w różnych konfiguracjach powstają. Wydaje się jednak, że warto podjąć ten wysiłek i spróbować, aby zobaczyć, *co mówi Duch do Kościołów* (Ap 2,7).

Na wstępie potrzebna jest refleksja nad tym, co nam mówi Ewangelia od strony praktycznej. Do jakiej duchowości nas prowadzi?

Po latach życia w klasztorze dzielę się swoimi myślami na ten temat.

Włodzimierz Zatorski OSB

CO TO JEST DUCHOWOŚĆ?

Kim się stajemy?

Duchowość zazwyczaj kojarzymy z pytaniem o to, co należy robić, by się zbawić. Jest to pytanie, jakie postawił Panu Jezusowi „bogaty młodzieniec”: *Nauczycielu dobry, co mam czynić, aby osiągnąć życie wieczne?* (Mk 10,17). Pan Jezus wskazał mu przykazania, przy czym wymienił jedynie te, które były zapisane na drugiej tablicy: *Nie zabijaj, nie cudzołóż, nie kradnij, nie zeznawaj fałszywie, nie oszukuj, czcij swego ojca i matkę* (Mk 10,19). Kiedy ten z kolei powiedział: *Nauczycielu, wszystkiego tego przestrzegałem od mojej młodości* (Mk 10,20), usłyszał w odpowiedzi:

Jednego ci brakuje. Idź, sprzedaj wszystko, co masz, i rozdaj ubogim, a będziesz miał skarb w niebie. Potem przyjdź i chodź za Mną! (Mk 10,21).

Nie było go jednak na to stać, *miał bowiem wiele posiadłości* (Mk 10,22).

Ta sytuacja dobrze ilustruje zasadniczy problem życia duchowego: oczekujemy od Pana Jezusa konkretnych wskazań, co mamy robić, jakie podejmować wysiłki, aby osiągnąć określone

cnoty, zasługi, zdolności, dobra duchowe..., które nas doprowadzą do Boga. Natomiast **Pan Jezus domaga się od nas nie czegoś, ale nas samych.** „Sprzedaj wszystko” oznacza: wyzbądź się wszelkich zabezpieczeń i powierz Mi w dalszej drodze. Nie daje nam konkretnego planu drogi, nie wyznacza kolejnych stopni czy etapów doskonałości, ale każe się skoncentrować na zawierzeniu, całkowitym oddaniu się Jemu. W ten sposób życie duchowe to żywa więź osobowa z Chrystusem, bycie Jego uczniem.

Nieco inną odpowiedź daje Pan Jezusa uczonemu w Piśmie, który zadał Mu prawie identyczne pytanie: *Nauczycielu, co mam czynić, aby osiągnąć życie wieczne?* (Łk 10,25), na co Pan Jezus odniósł pytającego do Prawa: *Co jest napisane w Prawie? Jak czytasz?* (Łk 10,26). Kiedy ten bardzo dobrze odpowiedział, wskazując przykazanie miłości Boga i bliźniego, Jezus pochwalił tę odpowiedź i zalecił:

Dobrześ odpowiedział. To czyn, a będziesz żył.

Lecz on, chcąc się usprawiedliwić, zapytał Jezusa:

«A kto jest moim bliźnim?» (Łk 10,28n).

Zauważmy, że odpowiadając dobrze na pytanie o to, co jest najważniejsze w Prawie, niekoniecznie dobrze rozumiemy prawdziwy sens tego, o co w istocie chodzi. Pytając: *A kto jest moim bliźnim?* – uczony w Piśmie właściwie pyta o to, wobec kogo obowiązuje go przykazanie miłości. Miłość jest

przez niego od razu postrzegana jako obowiązek, coś co musi czynić. Przy czym zakłada, że jeżeli ktoś nie jest jego bliźnim, to przykazanie miłości bliźniego go nie obowiązuje, a zatem jest wolny od tego nakazu! Pan Jezus jednak zupełnie inaczej podchodzi do zagadnienia miłości i, jak to widzimy w Jego interpretacji przykazań w Kazaniu na górze (zob. Mt 5-7), także do całego Prawa. Zamiast mówić o zakresie obowiązywania przykazania, wyznaczania w tym przypadku kategorii ludzi będących naszymi bliźnimi, wskazuje na to, co się w nas samych dzieje, gdy działamy lub nie działamy zgodnie z przykazaniem. W odpowiedzi uczonemu w Prawie przedstawił przypowieść o miłosiernym Samarytaninie.

Samarytanin nie został wybrany przypadkowo, ale z tej racji, że był, zgodnie z żydowskim ówczesnym myśleniem, klasycznym wrogiem Żydów, a zatem jeżeli można by wykluczyć kogokolwiek z kategorii „bliźni”, to przede wszystkim jego jako wroga(!). Ponadto warto sobie uświadomić, że w tym kontekście pobitym człowiekiem na drodze z Jerozolimy do Jerycha był Żyd, co uczony w Piśmie dobrze rozumiał. Jak pamiętamy, Pan Jezus, chodząc z Jerozolimy do Galilei, prawie zawsze szedł tą drogą, a potem wzdłuż Jordanu na północ. W Ewangelii tylko jeden raz widzimy Pana Jezusa idącego przez Samarię w drodze do Galilei.

Obok tego pobitego przechodzili kolejno: kapłan, lewita i Samarytanin. Zarówno kapłan, jak i lewita jako Żydzi, byli bliźniami pobitego, a ponadto dobrze znali Prawo, jednak nie pomogli pobitemu, ale przeszli obok niego obojętnie. Natomiast Samarytanin, klasyczny wróg Żydów, *wzruszył się głęboko: podszedł do niego i opatrzył mu rany, zalewając je oliwą i winem; potem wsadził go na swoje bydlę, zawiózł do gospody i pielęgnował go* (Łk 10,33n).

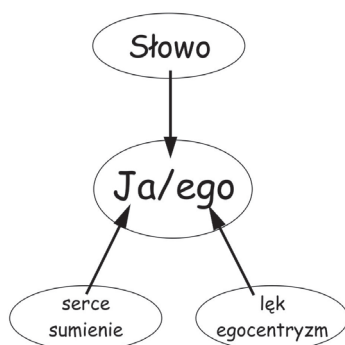
Na końcu przypowieści Pan Jezus spytał: *Któryż z tych trzech okazał się, według twego zdania, bliźnim tego, który wpadł w ręce zbójców?* (Łk 10,36). Odwrócił zatem pytanie uczonego w Prawie, zmieniając tym samym sposób podejścia do zagadnienia. Wskazał, że najważniejsze jest to, kim się stajemy, robiąc to czy tamto. Nie jest ważne, kim jesteśmy z urodzenia, przynależności narodowej, religijnej... , ale to, kim się stajemy, przez to, co wybieramy. Podjęty czyn okazuje się wyborem siebie w relacji z drugim człowiekiem, a tym samym jest wyborem tego, kim jesteśmy. O tej zasadzie Pan Jezus mówił też w sposób bardzo zdecydowany wówczas, gdy krewni domagali się od Niego posłuszeństwa względem klanu rodzinnego i przyszli do Karafnaum, biorąc ze sobą także Jego matkę. Powiedział wówczas do nich:

«Któż jest moją matką i którzy są moimi braćmi?»

I spoglądając na siedzących dokoła Niego, rzekł:

«Oto moja matka i moi bracia. Bo kto pełni wolę Bożą, ten jest Mi bratem, siostrą i matką (Mk 3,33–35).

Naszą tożsamość uzyskujemy, dając odpowiedź na wezwanie do nas skierowane. Jeżeli jest to posłuszeństwo Bożemu słowu, stajemy się dziećmi Boga, a tym samym braćmi Chrystusa, jeżeli zaś idziemy za głosem Złego, stajemy się jego dziećmi (zob. J 8,44). Można to przedstawić na schemacie, który odnosi się właściwie do każdej sytuacji, w jakiej jesteśmy, a szczególnie w sytuacji wobec innych.



Każda sytuacja niesie z sobą jakiś sens, wezwanie, pojawiający się problem, co określam przez „Słowo”. Na ten pojawiający się sens musimy jakoś zareagować. W przypadku przypowieści tym sensem jest pojawiający się głos sumienia wzywający do pomocy pobitemu. Na to wezwanie mamy w przypowieści zasadniczo dwie reakcje: jedna to

reakcja kapłana i lewity, która sprowadza się do obojętności: *zobaczył go i minął* (Łk 10,31). Druga to reakcja Samarytanina rozpoczynająca się od „głębokiego wzruszenia” i pomocy.

Jeżeli się bliżej zastanowimy, to możemy zobaczyć, że obojętna reakcja kapłana i lewity wynikała z zatroskania o siebie samego, czyli wynikała z lęku lub wygodnictwa i szukania dobra dla siebie (ego). Taka reakcja umacnia w nas egocentryczne nastawienie. Jednak to, co jest najważniejsze w tej sytuacji, to fakt, że zamykamy się w sobie i stajemy się obcymi, obojętnymi na biedę innych. Natomiast nasza wrażliwość na biedę drugiego i gest miłosierdzia otwiera nas na spotkanie z nim jako naszym bratem (Ja). Wynika ona z refleksji: Co chciałbym, aby zrobił drugi człowiek, gdybym sam znalazł się w podobnej sytuacji? Takie podejście tworzy pomiędzy nami więź solidarności, stąd stajemy się braćmi dla siebie nawzajem. Ujmuję to swoistym równaniem zaimkowym:

$$\text{ja} + \text{ty} = \text{my}$$

To równanie ma bardzo ważne znaczenie we wzajemnych więziach pomiędzy ludźmi wspólnie prowadzącymi życie, np. w małżeństwie. Jan Paweł II pisał w „Liście o godności kobiety”: „*Niewiasta jest drugim „ja” we wspólnym człowieczeń-*

stwie”. Dopiero wówczas, gdy dokonuje się spotkanie z drugim jako uczestnikiem wspólnego człowieczeństwa – jak to było przy stworzeniu kobiety z żebra Adama – dochodzimy do swojej tożsamości jako osoby, czyli powstaje prawdziwe „Ja”. Tak to także przedstawia znana sentencja soborowa, którą lubił powtarzać Jan Paweł II:

Człowiek będąc jedynym na ziemi stworzeniem, którego Bóg chciał dla niego samego, nie może odnaleźć się w pełni inaczej jak tylko poprzez bezinteresowny dar z siebie samego (KDK 24).

Nasze „Ja” jako osoby pojawia się jedynie w spotkaniu z drugim. Tutaj dotykamy tego, co można nazwać „duchowym”: **duchowe** odnosi się do tego, **kim się stajemy**, robiąc to czy tamto, odnosi się do naszej tożsamości osobowej.

Przy czym trzeba tutaj sobie zdać sprawę, że nie dokonuje się to mocą samego czynu. Żeby to zilustrować, wyobraźmy sobie rozszerzenie przypowieści o miłosiernym Samarytaninie. Jeżeli bandyci, którzy ograbili tego człowieka, nie oddalili się daleko, ale za skałą dzielili łupy, pomyśleli, że przecież nie chcieli zabić tego człowieka, ale jedynie ograbić go, a zabicie człowieka to wielki grzech wobec Boga i dlatego lepiej, żeby ten człowiek przeżył. Dlatego też, widząc przechodzącego Samarytanina, zawołali na niego: „Ej ty, zajmij się tym człowiekiem, zaopiekuj się nim, bo jeżeli nie, to my ciebie tak

samo urządzimy!” Samarytanin mógłby zrobić to samo, co zrobił w tej przypowieści, jednak zrobiłby to z lęku o siebie, a nie z poruszenia sumienia. Wówczas jego tożsamość tworzyłaby się na podstawie lęku o siebie, a nie w wyniku posłuszeństwa głosowi sumienia. Dlatego nie stałby się prawdziwie bliźnim tego człowieka, choć niewątpliwie zrobiłby coś dobrego dla niego. To nie byłby gest solidarnego z cierpiącym brata, ale praca niewolnika, nie czyn wolnej osoby działającej z własnego wyboru, ale załęcznionego o siebie wyrobnika. Nie doszłoby wówczas do prawdziwego spotkania, choć w efekcie po pewnym czasie mogłoby się to przekształcić w takie spotkanie, jak to nieraz w życiu się zdarza.

Z takim przypadkiem mamy do czynienia podczas drogi krzyżowej, kiedy to *niejakiego Szymona z Cyreny, ojca Aleksandra i Rufusa, który idąc z pola, tamtędy przechodził, przymusili, żeby niósł Jego krzyż* (Mk 15,21). Wymienienie jego dzieci wskazuje na to, że one uważały to sobie za zaszczyt, że ich ojciec niósł krzyż Jezusa. W ten sposób Bóg pomimo braku wolności uznaje jednak dobro tego czynu i można się spodziewać, że to nagrodił Szymonowi.

Aby się prawdziwie stać sobą i osiągnąć pełnię życia, trzeba zrobić z siebie szczerzy, bezinteresowny dar. W tym goście stajemy się bliźnimi dla drugiego, co w kontekście innej wypowiedzi Pana

Jezusa wprowadza nas w żywą relację z Nim samym:

Wszystko, co uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, Mnieście uczynili (Mt 25,40).

Żeby nie było żadnych wątpliwości odnośnie do solidarności Pana Jezusa z „bratem najmniejszym”, podaje tę samą zasadę od strony negatywnej:

Wszystko, czego nie uczyniliście jednemu z tych najmniejszych, tegoście i Mnie nie uczynili (Mt 25,45).

Zestawienie tych dwóch tekstów: przypowieści o miłosiernym Samarytaninie i nauki o sądzie ostatecznym, pokazuje nam to, o co w istocie chodzi w życiu duchowym: **kiedy człowiek wchodzi w relację miłosierdzia wobec drugiego, staje się sobą**, staje się tym, kim go Bóg w swoim zamysle stwórczym powołał do istnienia, do czego go wzywa. Natomiast kiedy się zamyka na drugiego, odcina się od niego, staje się egoistą i sam sobie funduje śmierć, która nie jest unicestwieniem, ale odcięciem się od Boga, źródła życia. Śmierć w Biblii to istnienie bez żywej relacji z Bogiem, co wyrażają słowa Pana Jezusa na sądzie: *Idźcie precz ode Mnie, przekłęci, w ogień wieczny, przygotowany diabłu i jego aniołom* (Mt 25,41). Ludzie w szeolu (piekle) istnieją, ale nie są żywi, bo żywym można być jedynie w żywej relacji z Bogiem.

Tożsamość w sercu

Kiedy zatem pytamy o duchowość, pytamy w istocie o to, kim jesteśmy w naszej relacji do innych, co w perspektywie Ewangelii jednocześnie wskazuje na to, kim jesteśmy w relacji do Jezusa. Nasza **duchowość mówi nam, kim naprawdę jesteśmy, czyli właściwie kim jesteśmy w naszym sercu, czyli ostatecznie w relacji do Boga.**

W tym miejscu trzeba wyjaśnić samo pojęcie serca. Niestety w ostatnich wiekach, poczynając od średniowiecza, duchowe rozumienie serca zostało zmienione i u nas właściwie sprowadzone do centrum emocjonalnego przeżywania, do uczuć. Natomiast w Biblii i u Ojców Kościoła ma ono głębsze znaczenie. Istotne jest to, że duchowość biblijna i w tradycji Ojców jest duchowością serca. Widać to wyraźnie w samym nauczaniu Pana Jezusa a także u apostołów. Obecnie Kościół wraca do tego pierwotnego rozumienia, co dobrze oddaje określenie serca, jakie znajdujemy w Katechizmie Kościoła Katolickiego w czwartej jego części poświęconej modlitwie. Czytamy w nim:

Serce jest mieszkaniem, w którym jestem, gdzie przebywam (według wyrażenia semickiego lub biblijnego: gdzie „zstępuję”). Jest naszym ukrytym centrum, nieuchwytnym dla naszego rozumu ani dla innych; jedynie Duch Boży może je zgłębić i poznać. Jest ono miejscem decyzji w głębi na-

szych wewnętrznych dążeń. Jest miejscem prawdy, w którym wybieramy życie lub śmierć. Jest miejscem spotkania, albowiem nasze życie, ukształtowane na obraz Boży, ma charakter relacyjny: serce jest miejscem przymierza (KKK 2563).

Przede wszystkim serce jest miejscem, gdzie prawdziwie jesteśmy sobą – w nim się odsłania to, kim jesteśmy, czyli ukazuje się nasza duchowość. Rozum i wola nie ma do serca bezpośredniego dostępu, dlatego też w ich zwykłym działaniu nie są w stanie rozstrzygać o tym, kim jesteśmy(!). Jedynie Duch Święty, który jako jedyny przenika nasze serce, może nas do naszego serca wprowadzić. Tutaj widać wyraźnie, jak do naszej przemiany potrzebna jest łaska – działanie Ducha. Kiedy Pan Jezus mówił o *metanoi* – co tradycyjnie tłumaczyliśmy przez słowo: nawrócenie – to chodziło Mu o przemianę naszego sposobu myślenia, oceniania, rozumienia wszystkiego i podejmowania wyborów, co dokonuje się w sercu. Nie mamy tego „w swojej garści”, bo dokonuje się to w sercu. Stąd obecnie *metanoję* wyraża się po polsku przez „przemianę serca”. Dokonuje się to w naszym życiu przez spotkanie z Bogiem w sercu. Jeżeli podejmujemy łaskę Bożą, czyli idziemy za natchnieniami Ducha Świętego, dokonuje się w nas zstępowanie do serca i przez to prawdziwe spotkanie z Bogiem. Wówczas nawiązuje się nasza żywa re-

lacja z Bogiem żywym i prawdziwym – prawdziwa modlitwa.

Jednak nie tylko spotkanie z Bogiem, ale prawdziwe spotkanie z drugim może się dokonać jedynie w sercu i właściwie przez Boga czy w Bogu. Spotkanie zewnętrzne nie jest prawdziwym spotkaniem, ale raczej relacją typu wymiany, porozumienia się, a czasem niestety konfliktu, sporu, walki... Prawdziwe spotkanie osobowe możliwe jest tylko w komunii, czyli w miłości, która w pełni jest możliwa tylko w Bogu, który jest miłością. Stąd też słowa Pana Jezusa wcześniej cytowane mówiące, że cokolwiek czynimy jednemu z braci najmniejszego, czynimy wobec Niego (zob. Mt 25,40).

Zwróćmy uwagę, że w wykładzie nauki moralnej, jaki Pan Jezus robi w „Kazaniu na górze” (zob. Mt 5–7), koncentruje się On na tym, co się dzieje w sercu człowieka i to uważa za rozstrzygające o wartości czynu. Jeżeli weźmiemy tylko niezmiernie ważną naukę zawartą w błogosławieństwach (zob. Mt 5,2–12), to określenia typu: „błogosławieni ubodzy w duchu”, „błogosławieni cisi”, „błogosławieni, którzy się smucą”, „błogosławieni, którzy łakną i pragną sprawiedliwości”, „błogosławieni jesteście, gdy *ludzie* wam urągają i prześladują was, i gdy z mego powodu mówią kłamliwie wszystko złe na was”, w doświadczeniu życiowym ludzi nie jest żadnym szczęściem. „Błogosławieni”

to polskie tłumaczenie *makarioi*, co właściwie znaczy 'szczęśliwi', jednak nie zwykłą szczęśliwością, gdy się nam coś udało lub coś otrzymaliśmy zgodnie z naszymi pragnieniami, ale szczęśliwością wynikającą z więzi z Bogiem. Jeżeli Pan Jezus używa w tych stwierdzeniach czasu teraźniejszego i to w odniesieniu do nieszczęść, jakich doznają w tej chwili, to może to odnosić jedynie do tego, co się dzieje w głębi serca, miejscu naszego spotkania z Bogiem. W kontekście zwykłego doświadczenia trudno by tym ludziom tłumaczyć, że są szczęśliwi, gdy doświadczają nieszczęścia, smutku, niesprawiedliwości, prześladowania.

O naszej duchowości rozstrzyga to, kim jesteśmy w relacji do Boga, co zasadniczo objawia się i weryfikuje szczególnie w naszej relacji do innych ludzi. Tak ujęta duchowość ma charakter uniwersalny, bo odnosi się do każdego człowieka niezależnie od jego przynależności religijnej, narodowej, rasowej, klasowej itd. Trzeba jednak pamiętać, że tak jak istnieje duchowość pozytywna, wyrastająca z naszej bliskości z Bogiem przez miłosierdzie wobec innych, tak też istnieje duchowość negatywna, gdy stajemy się obojętni wobec innych i Boga, a nawet możemy stać się ich wrogami, co oznacza duchowość demoniczną.

Warto zwrócić uwagę na to, że Pan Jezus, mówiąc o sędzie ostatecznym, a także między inny-

mi mówiąc o błogosławieństwach, nie wskazuje na żadne kryterium zewnętrzne określające człowieka. Nie mówi np. tylko o Żydach, czy o swoich uczniach, czyli chrześcijanach, ale jedynie wskazuje na to, kim człowiek się staje przez swoje czyny w relacji do innych i do Niego. Na sądzie ostatecznym ludzie się dziwią, że uczynili lub nie uczynili czegoś dla Niego, bo sobie nie zdawali sprawy z głębi sensu ich czynów. Pan Jezus także utożsamia się z każdym najmniejszym bez dodatkowego dookreślenia: żyd, chrześcijanin, poganin... Nie przypadkiem także na bohatera przypowieści o bliźnim wybrał on klasycznego wroga, aby podkreślić, że bliźnim stajemy się przez okazane miłosierdzie, a nie przez pochodzenie lub przynależność narodową czy religijną.

W ten sposób każdy żyje duchowo, czyli w swoim życiu określa się w relacji do Boga, wchodzi w dobrą lub złą relację, niezależnie od tego, czy sobie z tego zdaje sprawę, czy nie, czy tego chce, czy nie.

Życie w Duchu Świętym

Oczywiście interesuje nas duchowość w pozytywnym sensie, prowadząca do bliskości Boga i udziału w Jego życiu, czyli w królestwie Bożym. O tym rozstrzyga wypełnienie Jego przykazań, co się właściwie sprowadza do przykazania miło-

ści w jego trzech wymiarach: miłość Boga, miłość bliźniego i siebie samego. Bez miłości nic nie uzyskuje swojej właściwej wartości, co jednoznacznie wypowiedział św. Paweł w pierwszych trzech wersetach Hymnu o miłości:

Gdybym mówił językami ludzi i aniołów,
a miłości bym nie miał,
stałbym się jak miedź brzęcząca
albo cymbał brzęmiący.
Gdybym też miał dar prorokowania
i znał wszystkie tajemnice,
i posiadał wszelką wiedzę,
i wiarę miał tak wielką, iżbym góry przenosił,
a miłości bym nie miał –
byłbym niczym.
I gdybym rozdał na jałmużnę całą majątność moją,
a ciało wystawił na spalenie,
lecz miłości bym nie miał,
nic mi nie pomoże (1 Kor 13,1–3).

Ten tekst jest niesamowicie jednoznaczny. Św. Paweł nie mówi w nim o żadnych szlachetnych wartościach życia świeckiego: kultura, sztuka, wiedza, działalność społeczna..., ale wymienia największe cnoty duchowe, a także dary Ducha Świętego: dar języków, prorocтво, wiedza duchowa, wiara, asceza, jałmużna. Mimo tego, że są to najwyższe wartości duchowe i religijne, bez miłości są one martwe, nie dają nam udziału w życiu prawdziwym, czyli w królestwie Bożym. Zatem

samo zdobywanie cnót, choćby najwyższych nie daje nam udziału w życiu Boga. Jedynie miłość daje taki udział. Na inny sposób wyraża tę prawdę św. Jan w swoim liście:

Umiłowani, miłujmy się wzajemnie,
ponieważ miłość jest z Boga,
a każdy kto miłuje,
narodził się z Boga.
Kto nie miłuje, nie zna Boga,
bo Bóg jest miłością (1 J 4,7n).

Jak jednak rozpoznać, czy kroczymy drogą miłości, czyli drogą życia? Św. Paweł w Hymnie o miłości wymienia znaki rozpoznawcze miłości prawdziwej:

Miłość cierpliwa jest,
łaskawa jest.
Miłość nie zazdrości,
nie szuka poklasku,
nie unosi się pychą;
nie jest bezwstydną,
nie szuka swego,
nie unosi się gniewem,
nie pamięta złego;
nie cieszy się z niesprawiedliwości,
lecz współweseli się z prawdą.
Wszystko znosi,
wszystkiemu wierzy,
we wszystkim pokłada nadzieję,
wszystko przetrzyma (1 Kor 13,4–7).

Ponieważ Bóg jest miłością, to On jedynie wie, czym jest miłość. Św. Paweł z tej racji nie daje definicji miłości, ale jedynie wskazuje cechy, po których możemy prawdziwą miłość rozpoznać. Wymienione cechy miłości w odniesieniu do pozytywnych cech harmonizują z „owocami Ducha”, a przez zaprzeczenie odnoszą się do tego, co „rodzi się z ciała”, o czym pisał św. Paweł w Liście do Galatów, przeciwstawiając życie według ducha życiu według ciała. Poznajemy to po owocach. W odniesieniu do ciała pisze:

Jest zaś rzeczą wiadomą, jakie uczynki rodzą się z ciała: nierząd, nieczystość, wyuzdanie, bałwochwalstwo, czary, nienawiść, spory, zawiść, gniewy, pogoń za zaszczytami, niezgoda rozłąmy, zazdrość, pijaństwo, hulanki i tym podobne. Co do nich zapowiadam wam, jak to już zapowiedziałem: ci, którzy się takich rzeczy dopuszczają, królestwa Bożego nie odziedziczą (Ga 5,19–21).

Natomiast o życiu według Ducha mówią owoce:

Owocem zaś Ducha jest: miłość, radość, pokój, cierpliwość, uprzejmość, dobroć, wierność, łagodność, opanowanie. Przeciw takim [cnatom] nie ma Prawa (Ga 5,22n).

Życie według Ducha poznajemy po tym, co się w nas rodzi, gdy coś robimy. Te wymienione owoce Ducha należałoby uzupełnić przynajmniej o: *przebaczenie, pokorę, wdzięczność i wytrwałość*, któ-

re św. Paweł wymienia, mówiąc o zasadach życia braterskiego we wspólnocie chrześcijańskiej (zob. Ef 4 i Kol 3). **Owoce są obiektywnymi miernikami autentycznego życia.** Nie da się ich podrobić, szczególnie jeżeli wchodzi w grę ich harmonia. Zatem kiedy mówimy o życiu prawdziwym, czyli życiu według Ducha, nie mówimy o pięknych ideach, mniemaniach, naszych wzniosłych przeżyciach, uniesieniach..., co niektórzy zarzucają. Uważają oni, że każdy może mieć swoje mniemanie na temat życia prawdziwego w zależności, od tego, co mu odpowiada. Jednak życie poznaje się po owocach i tymi owocami są wyżej wymienione. Nie można życiem prawdziwym nazwać czegokolwiek, co komu odpowiada, ale jest ono czymś bardzo konkretnym, co da się rozpoznać obiektywnie. W Ewangelii Pan Jezus kilka razy w różnych kontekstach mówił, że poznajemy po owocach.

Po owocu bowiem poznaje się każde drzewo; nie zrywa się fig z ciernia ani z krzaka jeżyny nie zbiera się winogron. Dobry człowiek z dobrego skarbcza swego serca wydobywa dobro, a zły człowiek ze złego skarbcza wydobywa zło. Bo z obfitości serca mówią jego usta (Łk 6,44–45).

Ten obraz drzewa i jego owoców jest bardzo wymowny, gdyż jest to obraz odnoszący się do życia i zasad jego rozpoznania. Żadne inne wskaźniki czy miary lub normy takiego rozpoznania nie dają.

W życiu duchowym chodzi o pełnię życia w królestwie Bożym, dlatego można je rozpoznawać po owocach, które są znakami życia. Zauważmy, że tutaj znowu Pan Jezus mówi o sercu jako źródle, z którego wychodzi dobro lub zło. To, co się dzieje w sercu, jest najważniejsze i rozstrzygające. W nim rodzą się dobre lub złe myśli, a z nich odpowiednio dobre lub złe czyny. Ostatecznie w życiu duchowym chodzi o pełnię życia, co się sprowadza do naszego udziału w królestwie Bożym albo – mówiąc inaczej – o udział w zmartwychwstaniu Chrystusa.

W nauce o duchowości mówi się klasycznie o trzech etapach wzrostu duchowego: **etap oczyszczenia, oświecenia i zjednoczenia**. Niewątpliwie wyrażają one postęp na drodze duchowej. Jednak przy takim podejściu rodzą się pytania: czy te etapy są odrębne i następują kolejno po sobie, tj. jeżeli ktoś osiągnął etap oświecenia, czy już jest po etapie oczyszczenia? Czy może jednak nie jest tak, że są to raczej pewne wymiary życia, które występują u człowieka jednocześnie, o ile te wymiary osiągnął? Ponadto chyba trudno rozpoznać te etapy u ludzi o całkiem odmiennych osobowościach, charakterze, wrażliwościach itd. Natomiast największy problem związany z myśleniem o etapach w życiu duchowym polega na tym, że sugerują one, że kolejne etapy stanowią większą doskona-

łość: oświecenie jest wyższym etapem od oczyszczenia, a zjednoczenie wyższym niż oświecenie. Budzi to w człowieku pytanie: A ja na jakim etapie jestem? Czy jestem wyżej, czy niżej niż inni? Pokusa takiego myślenia jest ogromna i prowadzi wręcz do tragedii w życiu duchowym. Klasycznym przykładem jest faryzeusz z przypowieści o faryzeuszu i celniku w świątyni. Modlił się on do Boga słowami:

Boże, dziękuję Ci, że nie jestem jak inni ludzie, zdieci, oszuści, cudzołożnicy, albo jak i ten celnik. Zachowuję post dwa razy w tygodniu, daję dziesięcinę ze wszystkiego, co nabywam (Łk 18,11–12).

Pan Jezus nie podważał prawdziwości tego, co mówił. Jest on zatem wzorowym żydem, skrupulatnie wypełniał przykazania i Prawo, był wiernym mężem, modlił się, był bardziej gorliwy religijnie, niż wymagało Prawo. Właściwie miał wszystkie prerogatywy, by być uznanym za człowieka na wskroś religijnego – ale nie został przez Boga wysłuchany(!). Z kolei drugi w świątyni to celnik, można powiedzieć łachudra, cwaniaczek, człowiek, który żerując na biedzie swoich rodaków, współpracując z okupantami (Rzymianami), bogacił się – został przez Boga wysłuchany(!). Pan Jezus podał na końcu rację, dla której tak się stało: *Każdy bowiem, kto się wywyższa, będzie poniżony, a kto się unizna, będzie wywyższony* (Łk 18,14).

Ewagriusz z Pontu – mnich żyjący w czwartym wieku, opracował naukę o ośmiu duchach zła. Próżna chwała, w którą wpadł ów faryzeusz, to siódmy z ośmiu duchów. Jest on szczególnie groźny dla ludzi pobożnych, którzy osiągnęli już jakiś stopień doskonałości życia duchowego. Pojawia się jako potrzeba uzyskania potwierdzenia, że rzeczywiście jesteśmy wybranymi i lepszymi od innych. Ulegając jej jednak, upadamy niżej niż punkt, z którego wyszliśmy – jak mówili mnisi. W ogóle myślenie porównawcze jest w życiu duchowym niszczące. Próżna chwała i wyrastająca z niej pycha są demonicznymi pokusami, gdyż przez nie człowiek wpada w to, co jest grzechem samego Szatana. Pycha szatańska jest największym grzechem w ogóle. Człowiek, wpadając w nią, staje w opozycji do Boga, który jest miłosierny i pokorny w swojej miłości. Tak Boga objawia Chrystus, umierając na krzyżu.

W Ewangelii kilkakrotnie spotykamy się z postawą próżnej chwały. Szczególnie widać ją u pobożnych żydów, którzy gardzili innymi, szczególnie poganami. W Ewangelii według św. Jana słyszemy z ust faryzeusza takie słowa: *ten tłum, który nie zna Prawa, jest przeklęty* (J 7,49). Jednak nie tylko sama próżna chwała, ale nawet postawa porównywania się i ciekawości w odniesieniu do innych, nie jest właściwa. Dowiedział się o tym np. św.

Piotr, któremu Pan Jezus powierzył prowadzenie Kościoła, mówiąc: *Paś owce moje!* (J 21,17) i przepowiedział, jaką śmiercią uwielbi Boga. Zaraz po tym ważnym dialogu Piotr spojrział na Jana i spytał: *Panie, a co z tym będzie?* (J 21,21). Jak pamiętamy, Jan był jedynym uczniem, który pozostał przy swoim Mistrzu do końca, aż do Jego śmierci na krzyżu! Okazał się jedynym uczniem wiernym do końca. Dlatego pewnie pojawiło się to pytanie u św. Piotra. W odpowiedzi usłyszał: *Jeżeli chcę, aby pozostał, aż przyjdę, co tobie do tego? Ty pójdź za Mną!* (J 21,22).

Bóg ma wobec każdego człowieka swój plan i to jest sprawa Boga i tego człowieka, zatem każdy powinien usłyszeć i odpowiedzieć pozytywnie na wezwanie: *Ty pójdź za Mną!* Natomiast nie ma sensu żadne porównywanie się z innymi, czy zamartwianie się o ich los. Jeżeli widzimy potrzebę u drugiego, to powinniśmy pomóc. Właściwe pytanie z naszej strony brzmi wówczas: „W czym ci mogę pomóc?”. Jeżeli nie możemy pomóc, to pozostaje z naszej strony modlitwa, w której powierzymy go Bogu. Jego los należy do Boga i zależy od jego osobistych wyborów. Każdy z nas powinien się skoncentrować na tym, by autentycznie pójść za Jezusem! W Apokalipsie Chrystus mówi:

Zwycięzcy dam manny ukrytej i dam mu biały kamyk, a na kamyku wypisane imię nowe, któ-

regu nikt nie zna oprócz tego, kto *je* otrzymuje (Ap 2,17).

Gdyby spróbować określić w miarę ściśle, czym jest życie duchowe w chrześcijańskim sensie, to można powiedzieć: Życie duchowe to ni mniej ni więcej **tylko życie w Duchu Świętym**. A na ile je w naszym życiu realizujemy, poznajemy po „owocach Ducha”. One są dla nas znakami rozpoznawczymi. Podobnie wolność od tego, co „się rodzi z ciała”, także, jak to wyraża św. Paweł w Hymnie o miłości (1 Kor 13), potwierdza nam, czy idziemy drogą miłości. Nie jest ważne, na jakim etapie jesteśmy, ale ważne jest to, czy autentycznie i konsekwentnie idziemy za Jezusem.

WALKA DUCHOWA – OSIEM DUCHÓW ZŁA

Podjmując refleksję nad życiem duchowym, musimy wpieryw zobaczyć, jak funkcjonujemy w świecie. Jak kształtuje się nasze życie? Jakie dynamizmy w nas działają i nas określają?

Logismoi – myśli, które przychodzą

Rozważając dalej przypowieść o miłosiernym Samarytaninie, warto się zastanowić nad tym, jak pojawiają się w nas myśli czy to lękowe zatroskanie o siebie, czy myśl pełna miłosierdzia skierowana ku drugiemu? Tutaj dotykamy niezmiernie ważnej prawdy dotyczącej tego, jak sami funkcjonujemy od wewnątrz. Okazuje się bowiem, że „**myśli na nas przychodzą**” – jak to sformułował ks. Józef Tischner. Spontanicznie myślimy, że „sami myślimy”, ale kiedy odkrywamy, że jest inaczej i jak mówił ks. Tischner: „Ktoś mi myśli”, to sprawa wygląda zupełnie inaczej. Ten mechanizm znali doskonale mnisi starożytni i zrozumieli, że zasadnicza walka duchowa polega na rozpoznawaniu

tych przychodzących na nas myśli i umiejętności przyjmowania myśli dobrych, a odrzucania złych.

Odkrycie tej prawdy jest czymś zasadniczym w naszym życiu. Zwykle, kiedy żyjemy w nieustannym działaniu i w wielości spraw, jakie musimy podejmować, rozważać, reagować na rozmaite impulsy przychodzące ze świata, możemy w ogóle nie uświadomić sobie tego mechanizmu. Natomiast kiedy decydujemy się np. na modlitwę w ciszy i samotności, aby całkowicie otworzyć się na Boga, na spotkanie z Nim i wsłuchać się w Jego głos, idziemy do kaplicy, gdzie nie ma żadnych zewnętrznych zmieniających się impulsów, a my chcemy się skupić, to niezależnie od naszego wysiłku skupienia widzimy, że myśli same w naszej głowie baraszkują. My ich nie chcemy, bo nam przeszkadzają w skupieniu, ale niezależnie od naszych chęci, myśli dalej same się pojawiają! Niestety nie jesteśmy panami naszych myśli! Używając słowa „myśli”, po grecku *logismoi*, uwzględniamy w nich także wszystkie wyobrażenia, wspomnienia, uczucia, pragnienia, lęki... Tak się dzieje nieustannie w każdej sytuacji, tylko wtedy kiedy jesteśmy skoncentrowani na czymś konkretnym, inne myśli są przygłuszone.

Odkrycie tego mechanizmu jest czymś zupełnie zasadniczym w życiu duchowym, gdyż podejmując jakąś myśl, sami określamy siebie i jeżeli nie

wiemy, że „ktoś nam myśli”, możemy pójść i robić coś, co nas niszczy, co spowoduje, że ktoś nas wykorzysta itd. Aby stawać się sobą, musimy rozpoznawać przychodzące na nas myśli i sami wybierać te, za którymi chcemy pójść. Jeżeli natomiast nie wiemy, za czym idziemy, to najczęściej idziemy za czymś głupim, co nas ostatecznie niszczy, a w ogóle sobie z tego nie zdajemy sprawy. Jeżeli natomiast wiemy, za czym idziemy, to choćbyśmy wybrali źle, to przynajmniej wiemy, co wybraliśmy i możemy zrobić korektę w naszym wyborze.

Wiedząc o tym mechanizmie przychodzących na nas myśli, postarajmy się wczuć w poszczególne postaci przypowieści o miłosiernym Samarytaninie. Zarówno kapłan, jak i lewita oraz Samarytanin spotkają konkretną sytuację: pobity człowiek, którym najprawdopodobniej jest Żyd, leży na poboczu drogi. Każdy z nich zauważył tego człowieka i jak wiemy z doświadczenia, musiało się w nich obudzić sumienie mówiące: trzeba pomóc. Kapłan i lewita, którzy przechodzili obok pobitego, zobaczyli go i trudno sobie wyobrazić, że nie usłyszeli głosu sumienia, żeby mu pomóc. Natomiast jednocześnie pojawił się lęk o siebie: „A co mi się stanie, gdy mu pomogę? Ile to będzie mnie kosztować czasu, zachodu, trudu..., przecież mam bardzo ważne zadanie!”. Być może szli oni do Jerozolimy, aby odbywać wyznaczoną dla

ich oddziału służbę w świątyni, a ten pobity mógł być nieżywy, a dotykając się go, mogli zaciągnąć nieczystość...

Niewątpliwie w Samarytaninie także obok wzruszenia, czyli głosu sumienia, pojawiła się myśl zatroskania o siebie samego i swoją misję. Ostatecznie każdy z nich wybrał: albo głos sumienia i solidarności z pobitym (Samarytanin), albo lękowe zatroskanie o siebie (kapłan i lewita). Właśnie ten wybór rozstrzygnął o tym, kim się stali w odniesieniu do tego pobitego: albo okazując miłosierdzie stając się bliźnim dla drugiego i przez to stając się tym, kim powinienem być w Bożym zamyśle: stworzeniem na obraz i podobieństwo Boga, bratem Chrystusa, albo, odcinając się od drugiego, sam wybieram izolację i ostatecznie rozpacz i piekło.

Myśli, jakie na nas przychodzą, mogą być dobrymi lub złymi myślami. Złe oddziałują na lęki i pożądania, jakie nosimy w sercu, a dobre przemawiają przez sumienie i pobudzają do miłosierdzia. Przy czym określając je „dobrymi” lub „złymi” nie upraszczamy do kategorii moralnie dobrych lub złych, ale widzimy jako te, które prowadzą do pełni życia lub to życie zawężają lub po prostu niszczą. Istotne jest to, jakie są źródła tych myśli.

Jeżeli byśmy wzięli np. pod uwagę motywację kapłana czy lewity zdążającego do świątyni na

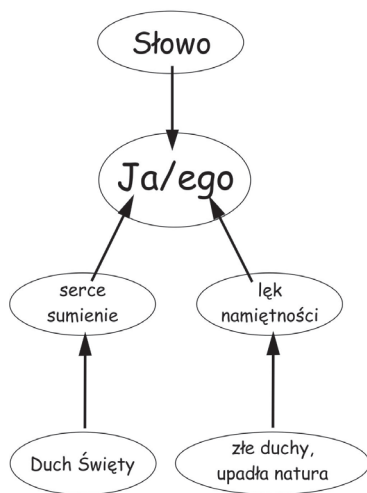
służbę (niezmiernie szlachetna posługa w imieniu całego Izraela(!)), to dylemat: pomóc czy pozostawić to innym, jest wyborem pomiędzy tym, co jest większą wartością: służba Bogu w świątyni, czy pomoc drugiemu. Jak pamiętamy z Ewangelii, to był stały problem dla faryzeuszy do tego stopnia, że Pan Jezus w Kafarnaum w synagodze głośno zawołał: *Co wolno w szabat: uczynić coś dobrego czy coś złego? Życie uratować czy zabić?* (Mk 3,4). W moralnej ocenie kapłana i lewity służba w świątyni mogła być ważniejsza i dlatego odeszli od pobitego w poczuciu dobrego wyboru. Natomiast Pan Jezus przypominał: *Gdybyście zrozumieli, co znaczy: Chcę raczej miłosierdzia niż ofiary, nie potępialibyście niewinnych* (Mt 12,7). Cytowane słowa Pana Jezusa: *Chcę raczej miłosierdzia niż ofiary*, pochodzą od proroka Ozeasza, czyli były znane faryzeuszom w ich tradycji.

Ostatecznie jednak liczą się owoce naszego działania: budowanie życia – w tej sytuacji uratowanie życia tego pobitego, lub zaprzepaszczenie jego życia, co jak się okazuje w perspektywie słów Pana Jezusa ostatecznie powoduje ratowanie lub utratę naszego własnego życia:

Wszystko, co uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, Mnieście uczynili ...
Wszystko, czego nie uczyniliście jednemu z tych

najmniejszych, tegoście i Mnie nie uczynili (Mt 25,40.45).

Niezmiernie istotne jest rozróżnienie tego skąd pochodzą te przychodzące na nas myśli. Jakie jest ich źródło? Czy jest nim Bóg, dobre duchy czy nasze dobre usposobienie wynikające z podobieństwa do Boga (zasadniczo natchnienia Ducha Świętego), czy złe duchy lub skłonności naszej upadłej natury po grzechu pierworodnym. Przedstawiony wcześniej schemat trzeba zatem rozszerzyć:



Schemat ten pokazuje jednocześnie, na co działają owe przychodzące myśli. Jeżeli one pochodzą od Ducha Świętego, to działają na nasze sumienie, natomiast myśli od złych duchów pobudzają nasze

namiętności i lęk. W tym momencie można podać najprostsze kryterium rozróżnienia tych myśli: Jeżeli są namiętne lub pełne lęku – pochodzą od złego, natomiast myśli dobre są głębsze, ale jednocześnie „cichsze”, natomiast wymagające od nas czegoś, co nam nie odpowiada, co także pobudza nasze obawy. Ponadto myśli namiętne są natrętne i obiecują szybki i łatwy sukces. Natomiast myśli dobre nie obiecują spektakularnych sukcesów, ale pokój wynikający stąd, że zrobimy coś, co należy zrobić i pokój ostatecznie dają. Więcej na temat rozróżniania myśli namiętnych od dobrych powie nam głębsze przyjrzenie się owocom.

W walce duchowej najważniejsze dla nas jest rozpoznanie złych myśli, które często ukrywają się pod dobrymi intencjami lub dobrymi zasadami duchowymi. Z tej też racji mnisi, mówiąc o myślach (*logismoi*), od razu utożsamiali je z myślami namiętnymi, czyli złymi i utożsamiali je od razu z ich źródłem: złymi duchami.

Klasyczna nauka o *logismoi* (namiętnych myślach) pochodzi od Ewagriusza z Pontu, mnicha żyjącego w Egipcie w IV wieku. Był on pierwszym mnichem-pisarzem. Odegrał w dziedzinie refleksji nad życiem duchowym bardzo ważną rolę. Jego myśli przejęli później inni pisarze. Do nich należał na przykład Jan Kasjan, dzięki któremu wiele z myśli Ewagriusza weszło do tradycji monastycz-

nej Kościoła zachodniego. Odnosi się to także do nauki o ośmiu duchach zła, które Jan Kasjan, a za nim św. Grzegorz Wielki utrwalili w naszej tradycji. Jednak w dalszym rozwoju tej nauki nastąpiło jej przekształcenie w naukę o siedmiu grzechach głównych. Użyte słowo „grzechy” odpowiada w nauczaniu Ewagriusza z Pontu określeniu *logismoi* (myśli, pragnienia, pożądania, dynamizmy duszy), którego używa on zamiennie z określeniem „demony”.

Właściwie owych złych myśli jest nieprzeliczalna ilość, a ponadto są one „dostosowane” do każdego z ludzi. Jednak zdaniem Ewagriusza wszystkie można sprowadzić do ośmiu głównych *logismoi*, które atakują duszę człowieka, odciągając ją od działania zgodnie z jej naturą. Są to: *gastrimachia* – obżarstwo, *porneia* – nieczystość, *filargyria* – chciwość, *lype* – smutek, *orge* – gniew/złość, *acedia* – acedia, *kenodoxia* – próżność, szukanie ludzkiej chwały i *hyperefania* – pycha. Wszystkie inne są zasadniczo wypadkową tych ośmiu podstawowych. Są one wprost nazywane demonami lub duchami zła, ze względu na ścisłe powiązanie z ich źródłem.

Warto sobie uświadomić, że określenia „demon”, „duch” wcale nie są mniej „naukowe” niż wiele terminów używanych w psychologii, a nawet w naukach ścisłych. Terminy te są bowiem odpowiednikami powszechnego doświadczenia po-

jawiania się natrętnych myśli nachodzących nas, chociaż ich nie chcemy. Pojawiają się wbrew naszej woli i to z takim uporem, jak gdyby ktoś nam je narzucał. Pojęcie demona czy ducha zła wskazuje i wyjaśnia natręctwo owych *logismoí* oraz swoistą logikę, jaką można w nich rozpoznać. Niewątpliwie jest to lepsze określenie niż np. pojęcie podświadomości, która się kojarzy z nieznaną, mroczną głębią w nas. Pojęcie demona koresponduje z doświadczeniem wyrażonym przez ks. Tischnera: Ktoś mi myśli!

W nauce o ośmiu duchach zła ważne jest to, że same myśli, które na nas przychodzą, nie są grzechem. Jest to swoisty mechanizm, w którym jesteśmy. I tak np. to, że jesteśmy głodni, nie jest grzechem. To jest podstawowa potrzeba wynikająca z naszej natury. Jednak, idąc za tymi myślami, możemy grzeszyć. Grzech polega na niewłaściwym zaspakajaniu tych potrzeb.

Ewagriusz oparł swoją koncepcję na doświadczeniu osobistym i innych mnichów na pustyni. Punktem wyjścia jego koncepcji była refleksja nad sceną kuszenia Pana Jezusa na pustyni (zob. Mt 4,1–11; Łk 4,1–13). Trzema pokusami podsuwanymi Jezusowi przez Szatana są – według Ewagriusza – obżarstwo, chciwość i próżność, które nazywa on namiętnościami źródłowymi. Opis kuszenia Jezusa na pustyni uświadamia nam, że

same pokusy nie są grzechem! Pan Jezus nie zgrzeszył, choć przeżywał pokusy. W Jego przypadku nastąpiło szybkie rozpoznanie i jednoznaczne odrzucenie pokus. To jest ideał walki duchowej. Im szybciej rozpoznamy myśl i zareagujemy na jej pojawienie się, tym to jest lepsze dla nas. Pan Jezus daje nam przykład walki. Niestety jednak najczęściej tak się u nas nie dzieje.

Porządek działania złych duchów

Pokusy pojawiają się – według Ewagriusza – w pewnej kolejności. Pierwszą myślą namiętną, która atakuje człowieka, podobnie jak to było w kuszeniu na pustyni Pana Jezusa, jest **obżarstwo**. Demon obżarstwa wcale nie kusi mnicha do nadmiernego jedzenia, ale wzbudza w nim lęk o zdrowie, które może on utracić na skutek nadmiernej ascezy. Natomiast pobudzony lęk o zdrowie sam skłania do jedzenia „na wszelki wypadek”. Duchowa walka z demonem obżarstwa dotyczy nie samego jedzenia, ale koncentruje się na zdrowiu i trosce o fizyczne przetrwanie.

Warto w tym momencie zdać sobie sprawę z natury „namiętnych myśli”. Nie polegają one na prostej pokusie do złego, ale odwołując się do podstawowej potrzeby w życiu człowieka – w przypadku obżarstwa do konieczności jedzenia, aby człowiek mógł żyć – pobudzają zatroskanie o sie-

bie, o „dobro” życia, a nawet, używając lęku o utratę tego życia, do skoncentrowania się na własnej potrzebie. Obżarstwo w rozumieniu Ewagriusza z Pontu nie sprowadza się zatem do żądzy objadania się, ale jest wynikiem skoncentrowania się na swoich potrzebach z zapomnieniem o Bogu i jego łasce. Doświadczyć tego można, gdy podejmujemy post. Tak właśnie było z Panem Jezusem na pustyni. Pokusa pojawiła się w sytuacji skrajnego wyczerpania i nie skłaniała do czynu złego moralnie. Sama sugestia by zamienił kamień w chleb nie jest pokusą do złego czynu. Później Pan Jezus na słowo swojej Matki zamienił wodę w wino, czyli coś bardzo podobnego.

Zło tej pokusy polegało na skoncentrowaniu się na sobie i swoich potrzebach naturalnych, ale w ten sposób, że zapominamy o sensie naszego istnienia jako dzieci Bożych, które żyją przed i dla Boga. Dlatego Pan Jezus odpowiedział: *Napisane jest: Nie samym chlebem żyje człowiek* (Łk 4,4). Istotne jest to, że namiętne myśli odnoszą się do podstawowych potrzeb człowieka, wynikających z jego natury, czyli do czegoś, co samo w sobie jest dobre, a staje się złe przez brak właściwego uporządkowania – pragnienia zrealizowania ich z zapomnieniem o Bogu. Człowiek wówczas widzi swoje szczęście przez zaspokojenie pragnień tu na ziemi. Dobrze to ilustruje przypadek trze-

ciego ziarna z przypowieści o siewcy, ziarna, które wpadło pomiędzy ciernie, *lecz troski tego świata, ułuda bogactwa i inne żądze wciskają się i zagłuszają słowo, tak że pozostaje bezowocne* (Mk 4,19). My się na świecie po prostu nie mieścimy i nic, co jest na tym świecie, nie jest w stanie nas wypełnić, dać nam pełni szczęścia i życia. Istnieje w nas powołanie do czegoś, co nas całkowicie przerasta i nie da się zrealizować w tym życiu, które musi się skończyć. Tak jest, bo *do nieśmiertelności Bóg stworzył człowieka – uczynił go obrazem swej własnej wieczności* (Mdr 2,23).

Podobną strukturę mamy w innych namiętnych myślach. Obżarstwo pociąga za sobą **nieczystość** – czego akurat w kuszeniu na pustyni nie było(!). Tutaj jednak też nie chodzi o bezpośrednią pokusę do seksualnej rozkoszy. Namiętna myśl o nieczystości także ma subtelny charakter, jest pobudzeniem potrzeby intymnej bliskości z drugim człowiekiem, a także marzenia o posiadaniu potomstwa, co jest zgodne z naszą naturą – tak przecież Bóg stworzył człowieka, czyniąc ich mężczyzną i kobietą.

Podobnie demon **chciwości** (druga z pokus na pustyni, zob. Łk 4,5–7) nie kusi człowieka do zdobywania większej ilości pieniędzy czy jakichkolwiek środków materialnych, ale wywołuje lęk przed pozostaniem bez środków do życia i koniecznością

bycia zależnym od pomocy innych ludzi oraz egzystowaniem bez możliwości dokonania czegokolwiek przydatnego. Posiadanie dóbr materialnych, domu, pola, narzędzi pracy, ubrania itd. daje nam poczucie bezpieczeństwa. W sytuacji gdy nam brak tego, co konieczne do życia, grozi nam utrata naszej godności i pojawia się agresja. Trzeba jednak pamiętać o tym, że w chwili śmierci wszystko to, co posiadamy na ziemi, będzie nam odebrane. Tym samym śmierć pokazuje, że nic z tego, co posiadamy na ziemi, nie jest prawdziwie naszą własnością, ale są to rzeczy nam dane do użytku na jakiś czas. Bardzo wyraźnie mówi o tym Pan Jezus w Ewangelii, gdzie w przypowieściach określa tę naszą własność na ziemi albo jako coś „niewielkiego” w przeciwieństwie do „dużego” lub „cudzego” w przeciwieństwie do „własnego”, co odnosi się do królestwa Bożego.

W drugiej pokusie na ofertę Szatana:

«Tobie dam potęgę i wspaniałość tego wszystkiego, bo mnie są poddane i mogę je dać, komu zechcę.⁷ Jeśli więc upadniesz i oddasz mi pokłon, wszystko będzie Twoje».⁸ Lecz Jezus mu odrzekł: «Napisane jest: Panu, Bogu swemu, będziesz oddawał pokłon i Jemu samemu służyć będziesz» (Łk 4,6–8).

W innym miejscu Pan Jezus powiedział: *Cóż bowiem za korzyść odniesie człowiek, choćby cały świat zyskał, a na swej duszy szkodę poniósł? Albo co da czło-*

wiek w zamian za swoją duszę? (Mt 16,26). Nawet zdobycie całego świata nie jest w stanie dać człowiekowi pełni życia.

Pokusie chciwości uległ „bogaty młodzieniec”, który przestraszył się polecenia, aby rozdał wszystko, co posiada (zob. Mk 10,17–22). Nie było go stać na pełne zaufanie w odniesieniu do Boga i dlatego stracił poczucie bezpieczeństwa. Pan Jezus, komentując tę scenę, powiedział:

Dzieci, jakże trudno wejść do królestwa Bożego tym, którzy w dostatkach pokładają ufność.

²⁵ Łatwiej jest wielbłądowi przejść przez ucho igielne, niż bogatemu wejść do królestwa Bożego (Mk 10,24–25).

Scena ta ukazuje jednocześnie, jak wspomniane namiętne myśli rządzą człowiekiem na co dzień, a on sobie tego nie uświadamia. Skrywają się one za jego zwykłymi troskami życiowymi. Dopiero sytuacje trudne a tym bardziej skrajne odsłaniają ich obecność i działanie. Tutaj ukazuje się sens chrześcijańskiej ascezy, która pozwala skonfrontować się z rządzącymi nami lękami i namiętnościami.

Trzecia z pokus źródłowych – **próżność** – posiada wieloraką postać. Pojawia się ona zarówno u ludzi prymitywnych i zmysłowych, którzy pragną, by ich podziwiano za siłę, brutalność, spryt itp., jak i u największych ascetów, którzy także pragną uznania za swoje duchowe dokonania. W kuszeniu

na pustyni przybrała ona postać szukania potwierdzenia godności Syna Bożego:

Zawiódł Go też do Jerozolimy, postawił na szczycie narożnika świątyni i rzekł do Niego: «Jeśli jesteś Synem Bożym, rzuć się stąd w dół. ¹⁰ Jest bowiem napisane: Aniołom swoim da rozkaz co do ciebie, żeby cię strzegli, ¹¹ i na rękach nosić cię będą, byś przypadkiem nie uraził swej nogi o kamień». ¹² Lecz Jezus mu odparł: «Powiedziano: Nie będziesz wystawiał na próbę Pana, Boga swego» (Łk 4,9–12).

Ta pokusa znowu jest zbudowana na podstawowej potrzebie człowieka: poczucia własnej godności. Jeżeli człowiek traci poczucie własnej godności, staje się nieobliczalny i jest gotów na najbardziej niegodziwe czyny. To poczucie własnej godności powoduje, że zachowuje się on szlachetnie. Stąd niezmiernie ważny apel św. Leona Wielkiego:

Poznaj swoją godność, chrześcijaninie! Stałeś się uczestnikiem Boskiej natury, porzuć więc wyrodne obyczaje dawnego upodlenia i już do nich nie powracaj¹.

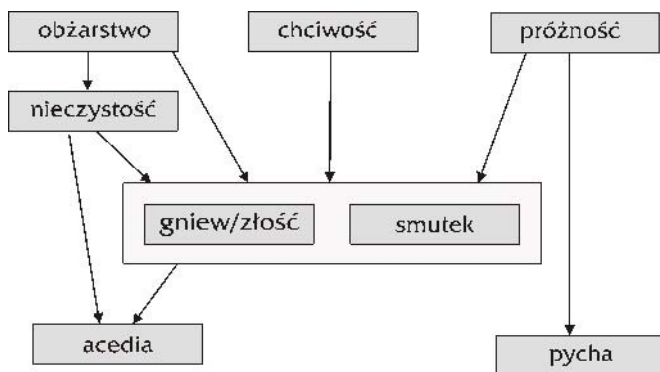
Próżność prowadzi do **pychy**, która jest w stanie zniszczyć wszystkie dotychczasowe duchowe osiągnięcia, sprowadzając ascetę do poziomu niższego niż ten, na którym był przed podjęciem du-

¹ Św. LEON WIELKI, *Kazanie na Boże Narodzenie*, kaz. 1,1–3.

chowej walki. Im ktoś wyżej się wspiął, tym jego upadek bywa większy.

Zobaczymy, że cztery źródłowe myśli namiętne są związane z podstawowymi potrzebami człowieka, bez których nie mógłby normalnie żyć na ziemi: obżarstwo – aby żyć trzeba jeść; nieczystość – każdy potrzebuje miłości i bliskości kogoś, a także pragnie przekazywać życie następnym pokoleniom; chciwość – człowiek potrzebuje coś posiadać, by mieć poczucie bezpieczeństwa; próżna chwała – każdy potrzebuje poczucia własnej godności, bez niej traci sens własnego życia. Zatem nie jest złe zaspokajanie tych potrzeb, ale to, że człowiek w takim zaspokajaniu widzi swoje szczęście i pełnię życia, gdy otrzymawszy tchnienie od Boga, może się zrealizować jedynie w żywej relacji z Nim.

W naszym przypadku można przedstawić w schemacie działanie myśli namiętnych:



Jeżeli zamykamy się w swoim życiu w perspektywie zaspakajania swoich naturalnych potrzeb, zapominając jednocześnie o naszym ostatecznym celu dojścia do królestwa Bożego, pojawia się frustracja. Żadne najbardziej wyrafinowane zaspokajanie podstawowych potrzeb, nie daje nam pełni życia. Stąd obżarstwo, chciwość, próżność, a także i nieczystość prowadzą do **smutku i gniewu**. Są one wyrazem frustracji, złości, tyle że w smutku złość skierowana jest do wnętrza, a w gniewie złość skierowana na zewnątrz, do innych ludzi.

Ten poziom pokusy nie wynika z realizacji podstawowych potrzeb, ale jest skutkiem złego ukierunkowania swojego zaangażowania w życiu, co wyraża między innymi znana sentencja soborowa już wcześniej przytoczona, że człowiek nie może się zrealizować w pełni inaczej, jak tylko przez szczery, bezinteresowny dar z siebie, czyli w miłości do innej osoby.

Natomiast zarówno gniew, jak i smutek są reakcjami jak najbardziej naturalnymi i pojawiają się także w życiu człowieka właściwie ukierunkowanego. I tak kiedy Pan Jezus wypędzał przekupniów ze świątyni, to wpadł w gniew – oburzenie na profanację „domu Ojca” (zob. J 2,16). A w odniesieniu do smutku Pan Jezus mówi nawet o błogosławieństwie: *Błogosławieni, którzy się smucą, albowiem oni będą pocieszeni* (Mt 5,4). Takie reakcje są na-

turalne: gniew jako reakcja na niegodziwość i podobnie smutek wynikający z szerzącego się zła, na co człowiek nie może w żaden sposób zareagować i go powstrzymać. Taki smutek pobudza do modlitwy. Natomiast gniew podtrzymywany czyni człowieka agresywnym, niezdolnym do budowania autentycznych relacji, a smutek trawiący nieustannie człowieka prowadzi do depresji, niezdolności czynienia niczego dobrego. Jedno i drugie niszczy go. One są pokusami wyrosłymi ze złego ukierunkowania w życiu. Niestety nasza cywilizacja jest nastawiona na konsumpcję i przez to prowadzi do tych dwóch pokus. Kolejne pokolenia są coraz bardziej roszczeniowe, co musi prowadzić do niezadowolenia, szemrania, złości w postaci gniewu i smutku.

Kiedy takie ukierunkowanie się powtarza i człowiek z uporem stara się zdobywać zadowolenie i szczęście przez zaspokajanie swoich potrzeb, powstaje w nim stan chorobowy, który Ewagriusz z Pontu nazywa **acedią**. Jest to już trzeci poziom pokusy. Acedia w związku z tym działa nieco inaczej. Według Ewagriusza z Pontu zawiera ona wszystkie wymienione wcześniej myśli namiętne:

Acedia jest jednoczesnym i długotrwałym pobudzeniem przez gniew i pożądanie, przy czym ten

pierwszy złości się na to, co obecne, drugie zaś tęskni za tym, co nieobecne².

Acedia różni się od innych złych myśli. Inne złe myśli dotyczą jednej sprawy czy pożądania i, nachodząc nas, po pewnym czasie mijają, acedia zaś przechodzi w egzystencjalny stan człowieka, ogarniając go całego i nie opuszczając go samoistnie.

Jeżeli wszystkie inne demony podobne są do wschodzącego i zachodzącego słońca, gdyż obejmują tylko część duszy, to demon południa zwykł chwytać całą duszę i dusić umysł³.

W acedii zawierają się wszystkie inne namiętności i pożądania, a ona sama jest ich zwieńczeniem i właściwie jądrem. Jest ona stanem depresyjno-maniakalnym na poziomie duchowym. Człowiek wpada albo w depresję i całkowite zniechęcenia, albo starając się tę depresję przezwyciężyć, będzie podejmował rozmaite działania o charakterze maniakalnym, rzucając się w taką lub inną aktywność. Innym rozwiązaniem jest kurczowe trzymanie się czegoś, co daje nam poczucie pewności. Tak było

² EWAGRIUSZ Z PONTU, *Scholia do Księgi Psalmów* 118,28, za KS. LESZEK MISIARCZYK: *Acedia według Ewagriusza z Pontu*, [w:] *Acedia – duchowa depresja. Wybór tekstów*, Kraków 2008, s. 15n

³ EWAGRIUSZ Z PONTU, *O praktyce ascetycznej*, 36, [w:] EWAGRIUSZ Z PONTU, *Pisma ascetyczne*, t. 1, Kraków 1998, s. 214.

w przypadku faryzeuszy, którzy trzymali się Prawa Bożego w interpretacji własnej tradycji, co miało im zapewnić poczucie własnej doskonałości. U podstaw jednak takiej postawy jest lęk przed możliwością, że czynię źle, grzeszę i jestem w związku z tym złym człowiekiem. Pewność daje mi poczucie własnej godności, bycia lepszym niż inni (zob. Łk 18,11), a przez to zbawionym. Takich sytuacji jest bardzo dużo.

W przedstawionym wykresie mamy określony porządek działania złych myśli i stopniowych konsekwencji ich działania. Ostatnim ich etapem jest stan chorobowy: acedia lub pycha. Poniżej tego istnieje jedynie rozpacz i piekło.

Jak istnieje porządek działania kolejno po sobie demonów, tak w podobnym porządku trzeba z nimi walczyć. Nie można pokonać demona gniewu, nie pokonawszy wcześniej demona obżarstwa, nieczystości, chciwości i próżności. To samo dotyczy acedii. Nie można jej pokonać bez pokonania wszystkich poprzednich demonów.

Niezmiernie ważne jest to, że zasadniczo jesteśmy chorzy. Trzeba to odkryć w sobie. Jak naprawdę jest z nami, nie poznajemy po naszych ideałach, nawet nie po naszych praktykach pobożnych, ale po owocach, o których mówiliśmy już wcześniej. Jeżeli masz w sobie złość, zazdrość, agresję, nienawiść, szemranie..., nie idziesz drogą

życia. Natomiast kiedy masz w sobie miłość wyrażającą się miłosierdziem do wszystkich, pokój, radość, cierpliwość, pokorę, przebaczenie itd., to znaczy, że działa w tobie Duch Święty i krocysz drogą zbawienia.

Zasadniczym jednak narzędziem walki z namiętnościami, a szczególnie z acedią, jest **wytrwałość**. Jest ona o wiele ważniejsza niż poszczególne akty i wyrzeczenia. Ewagriusz nie zachęca nikogo do nadzwyczajnej ascezy, raczej widzi w niej także zagrożenie przez demona próżnej chwały. Natomiast uważa, że należy się trzymać bezwzględnie przyjętych postanowień, które z tego powodu powinny być dokonywane racjonalnie.

Wytrwałość jest zagładą acedii, wykorzeniem złych myśli, stale pamięta o śmierci, jest ćwiczeniem się w niesieniu krzyża, bojaźnią Bożą tak mocno osadzoną niczym wbity gwóźdź, złotem wystawionym na uderzenia, uwolnieniem od ucisku prawa, księgą dziękczynień, pancerzem wyciszenia, orężem trudów; zaangażowaniem w dzieła szlachetne, potwierdzeniem cnót⁴.

Podejście Ewagriusza, jak również innych mniichów, do życia duchowego ma charakter dynamiczny wynikający ze świadomości, że nieustannie jesteśmy w centrum walki duchowej, a taktyka

⁴ EWAGRIUSZ Z PONTU, *O wadach, które przeciwnie są cnotom*, tamże: s. 411.

złych duchów jest niezmiernie przebiegła. Dlatego **czujność** i **wytrwałość** w walce są najważniejszymi cnotami. Jest to całkowicie zgodne z tym, co zaleca w Ewangelii Pan Jezus. Najważniejszą cnotą moralną jest w niej wytrwałość. Mnich – jak uważa św. Benedykt w *Regule* – jest żołnierzem walczącym „z diabłem” i „ze złem czającym się w ciele i w myślach” (zob. RegBen 1,5). W tej walce używa rozmaitych środków. Przede wszystkim ćwiczy się w cnotach, które się przeciwstawiają wymienionym duchom zła. Można je przedstawić w tabeli:

wady	cnoty
obżarstwo	umiarkowanie
nieczystość	powściągliwość
chciwość	ubóstwo
smutek	radość
gniew/złość	wyrozumiałość/łagodność
acedia	wytrwałość
próżność	życzliwość
pycha	pokora

Rozstrzygająca jest w tej materii praktyka życia duchowego. Ewagriusz pisze:

Umysł błądzący pokrzepiają: czytanie duchowne, czuwanie i modlitwa. Rozpaloną pożądliwość gasi post, trudy i odsunięcie się od świata. Wzburzoną popędliwość uspokaja zaś śpiewanie psalmów, cierpliwość i miłosierdzie. Wszystko to musi mieć

swój czas i miarę. To bowiem, co nie zna właściwego czasu ani miary, trwa krótko, a to, co krótkotrwałe, przynosi więcej szkody niż pożytku⁵.

W bezpośrednim starciu z atakującą pokusą Ewagriusz zaleca stosować metodę antyretyczną, polegającą na odpowiadaniu na podsuwane przez demona myśli innymi myślami zaczerpniętymi z Pisma Świętego. Jest to metoda, jaką zastosował Jezus do walki z kusicielem podczas czterdziestodniowego postu na pustyni. Ewagriusz w dziele *Antirrheticus (O sporze z myślami)* spisał cały szereg takich odpowiedzi.

Dwa etapy życia duchowego i walka duchowa w nich

System ośmiu myśli namiętnych czy demonów Ewagriusza wiąże z koncepcją antropologiczną. Zasadniczo wyróżnia on w człowieku trzy części: *nous* (umysł), *psyche* (duszę) i *soma* (ciało). *Nous* ze swej natury jest ukierunkowany na kontemplację Boga, *soma* przynależy do świata, natomiast cały wewnętrzny dramat człowieka rozgrywa się w *psyche*.

Pojawia się pytanie: jak połączyć tę koncepcję wyróżniającą trzy składowe w człowieku z klasycz-

⁵ EWAGRIUSZ Z PONTU, *O praktyce ascetycznej*, 15, [w:] tamże, s. 210

ną od początku nauką o dwóch składowych: duchu i ciele, jakie mamy w opisie stworzenia człowieka. Trójpodział można w Biblii odnaleźć właściwie jedynie u św. Pawła w Liście do Tesaloniczan (5,23): *Sam zaś Bóg pokoju niech uświęca was całych, aby nie-
tknięty duch wasz, dusza i ciało bez zarzutu zachowały się na przyjście Pana naszego, Jezusa Chrystusa* (1 Tes 5,23). Osobiście uważam, że polega to na tym, że dwa składniki: duch (*nous*) i ciało (*soma*) są konstytutywnymi, metafizycznymi składnikami człowieka, natomiast dusza (*psyche*) obejmuje nasze przeżywanie, świadomość, doświadczanie i pojmowanie tej rzeczywistości. Odpowiada to, według mnie, naszemu podstawowemu doświadczeniu, że „sami niejako budzimy się w życiu”. Nie wiemy, kim w istocie jesteśmy, ale to stopniowo odkrywamy. Dusza obejmowałaby nasze wewnętrzne wyposażenie, jak je opisuje np. w Mądrości Syracha:

⁶ Dał im wolną wolę, język i oczy, uszy i serce zdolne do myślenia.

⁷ Nappełnił ich wiedzą i rozumem, o złu i dobru ich pouczył.

⁸ Umieścił oko swoje w ich sercu, aby wielkość swoich dzieł im ukazać...

¹¹ Dodał im wiedzy i prawo życia dał im w dzieciństwo (Syr 17,6–8.11).

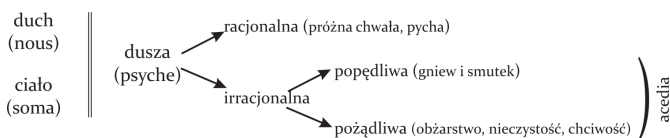
Można by to ująć w następującym schemacie:

duch (nous)		dusza (psyche)
ciało (soma)		

Ewagriusz wyróżnia w duszy część racjonalną i irracjonalną. Ta ostatnia ma dwa dynamizmy: popędliwość i pożądlliwość. W zamyśle stworczym Boga pożądlliwa część duszy pragnie dobra, a popędliwość stara się to dobro osiągnąć. I w ten sposób powinien następować rozwój człowieka. Jednak po grzechu pierworodnym doszło do zaburzenia zarówno od strony poznawczej – racjonalna część duszy zamiast poznawać prawdziwe dobro, bierze za dobro to, co w istocie jest złe. Podobnie od strony zmysłowej – człowiek pożąda tego, co jawi mu się jako dobre i z uporem to pragnie zdobyć lub przytłoczony troskami o sprawy tego świata nie jest w stanie dążyć do dobra, które widzi jako dobro. O tym np. pisze św. Paweł w Liście do Rzymian, mówiąc o tajemnicy nieprawości w nas:

Stwierdzam w sobie to prawo, że gdy chcę czynić dobro, narzuca mi się zło. ²² Albowiem wewnętrzny człowiek *we mnie* ma upodobanie zgodne z Prawem Bożym. ²³ W członkach zaś moich spostrzegam prawo inne, które toczy walkę z prawem mojego umysłu i bierze mnie w niewolę pod prawo grzechu mieszkającego w moich członkach (Rz 7,21–23).

Z tych ośmiu myśli namiętnych obżarstwo, nieczystość i chciwość rodzą się w pożądliwości irracjonalnej części duszy. Smutek i gniew są namiętnościami popędliwości. Acedia natomiast jest myślą złożoną – długotrwałym pobudzeniem zarówno pożądliwości, jak i popędliwości. Z kolei próżność i pycha są *logismoi* nękającymi racjonalną część duszy. Całość można przedstawić w schemacie:



Nie należy rozumieć owych namiętności w uproszczony sposób. Demony nie kuszą nas bezpośrednio do popełnienia zła. One umiejętnie pobudzają nasze namiętności na przykład przez wyolbrzymianie trudu podejmowanego dla zachowania cnoty lub przez wzbudzenie lęku przed złymi skutkami „nadmiernej” ascezy. Według takiego schematu dokonało się kuszenie rajskie. Wąż wcale nie namawiał Ewy do zerwania owocu z drzewa poznania dobra i zła, ale podważył wiarygodność słów Pana Boga, że po spożyciu owocu z tego drzewa umrze. Jednocześnie zasugerował, że Bóg przez ten zakaz nie chce człowieka dopuścić do najlepszego: wiedzy o dobru i złu. Ostatecznie to własna namiętność skusiła Ewę do zerwania i skosztowania owocu (zob. Rdz 3,1–6).

W powyższym schemacie widzimy zasadniczy podział na dwie grupy namiętnych myśli, czyli złych duchów: pierwsza działa w irracjonalnej, czyli zmysłowej części duszy, natomiast druga w racjonalnej części duszy. W przypadku tej pierwszej grupy szczytem jest acedia, która obejmuje wszystkie demony tej części. Narzędziami do zwalczania tych namiętnych myśli są różne pobożne praktyki: modlitwa, *lectio divina*, wytrwałość, ćwiczenia ascetyczne...

Natomiast inaczej się sprawa ma z próżną chwałą i pychą. One są szczególnie niebezpieczne dla ludzi pobożnych. Oczywiście pojawiają się już na poziomie borykania się z podstawowymi namiętnościami związanymi ze zmysłową częścią duszy, czyli z obżarstwem, nieczystością, chciwością, to przez sam fakt ewidentnych słabości, jakim ulegamy, stosunkowo łatwo je rozpoznać i pokonać. Natomiast sytuacja się zasadniczo zmienia, gdy dotyczą ludzi, którzy już postąpili w cnocie i pokonali acedię i wszystkie duchy zła, które do niej prowadzą. W tym przypadku próżna chwała staje się niezmiernie groźną myślą.

Dobrze to ilustruje przypadek owego faryzeusza w świątyni, który, jak pamiętamy, modlił się do Boga:

Boże, dziękuję Ci, że nie jestem jak inni ludzie: zdziercy, niesprawiedliwi, cudzołożnicy, albo jak

i ten celnik. ¹² Zachowuję post dwa razy w tygodniu, daję dziesięcinę ze wszystkiego, co nabywam (Łk 18,11–12).

Pan Jezus wcale nie podważał prawdziwości jego deklaracji. Trzeba zatem przejąć, że rzeczywiście wypełniał wszystkie przepisy Prawa i to nawet gorliwiej niż one nakazywały, nie grzeszył przez przekraczanie przykazań i do tego pewnie dawał jałmużnę. Zatem wydaje się, że wszystko jest u niego w porządku. W konkluzji jednak Pan Jezus powiedział:

Ten [tj. celnik] odszedł do domu usprawiedliwiony, nie tamten [tj. faryzeusz]. Każdy bowiem, kto się wywyższa, będzie poniżony, a kto się uniża, będzie wywyższony (Łk 18,14).

Chociaż faryzeusz miał za sobą wszystkie atuty, jednak nie został przez Boga wysłuchany! Wniosek jest szokujący na tle tego, że wysłuchany został celnik, człowiek grzeszny – właściwie w tym czasie celnik był synonimem grzesznika, współpracował z okupantem, bogacił się na biedzie swoich rodaków. Obowiązki religijne, jak można się domyślać, wypełniał „na wszelki wypadek”. Oczywiście w tej przypowieści Pan Jezus nie chciał dawać celnika za wzór człowieka wierzącego, a faryzeusza potępić za to, że był faryzeuszem, natomiast korzystając z kontrastu istniejącego pomiędzy nimi wskazać, że próżna chwała, w jaką wpadł faryzeusz, niwelu-

je wszystkie jego zasługi w dziedzinie wiary. Jest to postawa, która uniemożliwia prawdziwy kontakt z Bogiem(!).

Dlaczego tak jest? Otóż dlatego, że próżna chwała i wyrastająca z niej pycha są namiętnościami demonicznymi. Na tym właśnie polega największy grzech: pycha szatańska. Szatan jest przecież istotą o wiele doskonalszą od nas, to Lucyfer – niosący światło, jeden z największych aniołów. Jednak cała jego wspaniałość nie pomaga mu w prawdziwym spotkaniu z Bogiem. To samo dotyczy ludzi, którzy doszli do pewnej doskonałości i wpadli w sidła próżnej chwały i pychy. Demoniczność tych namiętności widać wyraźnie w praktyce. Jeżeli ktoś im ulega, to wpada w myślenie demoniczne, które owocuje największymi grzechami. Widać to wyraźnie w życiu największych dyktatorów rządzących państwami, a także w przypadku tych, którzy tworzyli rozmaite sekty, odrywając ludzi od Kościoła, ale też dotyczy to innych religii, gdzie pojawiają się rozmaici mistrzowie i nauczyciele prowadzący ludzi do całkowitego uzależnienia od siebie. Niektóre sekty doprowadzały ludzi nawet do zbiorowych samobójstw(!).

Próżna chwała i pycha są największym zagrożeniem dla ludzi pobożnych, w które niektórzy wpadają do dzisiaj. Sprawa jest niezmiernie ważna w życiu religijnym. Niestety wydaje się, że obecnie

jak gdyby zapomniano o tym ogromnym niebezpieczeństwie dla ludzi wierzących. Właściwie ocenia się człowieka jedynie według kryteriów branych na podstawie pierwszego etapu życia: borykania się ze zwykłymi namiętnościami życia. Natomiast podobnie jak w Ewangelii największy problem jest z tymi, którzy są zaawansowani w życiu religijnym i uważają się za „ludzi wiary”. Pan Jezus w odniesieniu do nich wypowiedział najmocniejsze słowa krytyki:

Wy macie diabła za ojca i chcecie spełniać pożądania waszego ojca. Od początku był on zabójcą i nie wytrwał w prawdzie, bo prawdy w nim nie ma. Kiedy mówi kłamstwo, od siebie mówi, bo jest kłamcą i ojcem kłamstwa. (J 8,44).

Biada wam, faryzeuszom, bo dajecie dziesięcinę z mięty i ruty, i z wszelkiej jarzyny, a pomijacie sprawiedliwość i miłość Bożą. Tymczasem to należało czynić, i tamtego nie pomijać. ⁴³ Biada wam, faryzeuszom, bo lubicie pierwsze miejsce w synagogach i pozdrowienia na rynku. ⁴⁴ Biada wam, bo jesteście jak groby niewidoczne, po których ludzie bezwiednie przechodzą (Łk 11,42–44).

Obłudnicy, dobrze powiedział o was prorok Izajasz:
⁸ Ten lud czci Mnie wargami, lecz sercem swym daleko jest ode Mnie. ⁹ Ale czci Mnie na próżno, ucząc zasad podanych przez ludzi (Mt 15,7–9)

Tak mocnych słów Pan Jezus nie powiedział o innych ludziach np. o grzesznikach takich jak cel-

nicy lub nierządnic. Ponadto faktem jest, że największy grzech, jaki ludzie popełnili, mianowicie skazanie na śmierć Syna Bożego jako bluźniercę i to jeszcze na taką śmierć (niezgodną z Prawem!), popełnili ludzie pobożni, członkowie sanhedrynu. Do Piłata powiedział Pan Jezus: *większy grzech ma ten, który Mnie wydał tobie* (J 19,11). Ten fakt jest przerażający, ale też bardzo wymowny i stanowi wielkie ostrzeżenie dla wszystkich wierzących. To nie jest problem jedynie Żydów sprzed 2 000 lat! Ten fakt jest wynikiem demonicznego charakteru ostatnich myśli namiętnych z nauki Ewagriusza z Pontu.

Mnisi bardzo dobrze zdawali sobie z tego sprawę i mówili, że jeżeli ktoś wpadł w próżną chwałę, to chociaż już osiągnął poziom apatei, czyli opamiętania acedii i poziom równowagi duchowej, spada niżej, niż poziom z jakiego wszedł na drogę duchową, czyli stał się gorszy niż był na samym początku. Dlaczego? Bo wpadł w pułapkę szatańską, demoniczną.

Dlatego mnich ma nieustannie być przytomny i wiedzieć, że pokusy będą go niepokoily aż do samej śmierci, szczególnie uważając na te ostatnie dwa duchy zła. Nie ma tutaj, na ziemi, spoczynku od duchowego wysiłku. Dlatego Ewagriusz podaje za swoim mistrzem, Makarym Egipcjaninem, zasadę:

Trzeba, aby mnich ciągle trwał w gotowości, tak jakby musiał umrzeć jutro, a z kolei by tak używał

swego ciała, jakby musiał żyć z nim jeszcze przez wiele lat. Taka postawa (...) z jednej strony niweczy myśli acedii i sprawia, że mnich jest bardziej gorliwy. Z drugiej strony zachowuje jego ciało w dobrym zdrowiu i utrzymuje ciągle jednakową jego wstrzemięźliwość⁶.

Osiem demonów, czy siedem grzechów?

Warto sobie zdać sprawę z zupełnie innego podejścia do życia duchowego, jakie pojawiło się w późniejszym czasie. Charakterystyczna jest w tym względzie zmiana Ewagrińskiej nauki o ośmiu duchach zła na siedem grzechów głównych. W tej zmianie wyraża się różnica podejścia do zagadnienia życia duchowego w ogóle. W Katechizmie czytamy o nich:

Wady można porządkować według cnót, którym się przeciwstawiają, lub też zgrupować je wokół grzechów głównych, wyróżnionych przez doświadczenie chrześcijańskie za św. Janem Kasjanem i św. Grzegorzem Wielkim. Nazywa się je «głównymi», ponieważ rodzą inne grzechy i inne wady. Są nimi: pycha, chciwość, zazdrość, gniew, nieczystość, łakomstwo, lenistwo lub znużenie duchowe (KKK, 1866).

⁶ EWAGRIUSZ Z PONTU, *O praktyce ascetycznej*, 29, [w:] EWAGRIUSZ Z PONTU, *Pisma ascetyczne*, t. 1, Kraków 1998, s. 213.

Tę zmianę można przedstawić w tabeli:

Ewagriusz	KKK
obżarstwo	łakomstwo
nieczystość	nieczystość
chciwość	chciwość
smutek	zazdrość
gniew/złość	gniew
acedia	lenistwo lub znużenie duchowe (czasem zwane acedią)
próżność	pycha
pycha	

Wraz ze zmianą nazwy – ze złych duchów lub myśli namiętnych na grzechy lub wady – nastąpiła zmiana sposobu podejścia do życia duchowego. Zło zasadniczo zostało sprowadzone do zła moralnego. U Ewagriusza zło niszczy samo życie człowieka, a nie sprowadza się jedynie do czynów moralnie złych.

Zmianę tego sposobu myślenia dobrze oddaje zamiana Ewagriuszowego „**smutku**” na grzech „zazdrości”, czyli właściwie „smutku z powodu pomyślności czy jakiegoś dobra będącego udziałem bliźniego”. Ewagriusz zdaje sobie sprawę, że istnieje smutek dobry, „smutek, który jest z Boga” (2 Kor 7,10), i smutek zły. O dobrym smutku

mówi Jezus w błogosławieństwach: *Błogosławieni, którzy się smucą, albowiem oni będą pocieszeni* (Mt 5,4). Smutek ten jest wywołany przez zło, jakiego sami doświadczamy i jakie się panoszy na świecie. Dobry smutek prowadzi „ku nawróceniu”, ku pogłębieniu więzi z Bogiem. Zupełnie inaczej jest w przypadku złego smutku. Jest on wynikiem oddalenia się od Boga. Powstaje najczęściej w wyniku popełniania grzechów i braku decyzji, by je porzucić. U Ewagriusza smutek osłabia ciało, jest chorobą moralną, powoduje cierpienie i nieszczęście człowieka. Tak rozumiany smutek rodzi poczucie rezygnacji i beznadziejności. Jest przeciwieństwem radości, będącej jednym z owoców Ducha Świętego (zob. Ga 5,22n), znaków życia w Duchu. Smutek ten jest przejawem śmierci duchowej, prowadzi bezpośrednio do acedii i jej towarzyszy. Zły smutek nie jest czynem złym moralnie ani nie wyrządza komuś zła. Nie wynika też z niego jakieś złe działanie, jak na przykład w przypadku zazdrości. Jest on złym stanem ducha. Ulegając mu, pogrążamy się w zło, stając się jego zakładnikiem. Jest to rodzaj grzechu przeciw życiu w sobie.

Zmiana smutku na zazdrość wyraża zmianę sposobu wartościowania: z dążenia do pełni życia na dążenie do moralnej doskonałości. Nieco upraszczając, można powiedzieć, że zasadniczą troską Ewagriusza jest **pełnia życia** i dlate-

go wszystko, co szkodzi życiu w Duchu, jest złe. Natomiast w ujęciu siedmiu grzechów głównych zasadnicza troska koncentruje się wokół dobra moralnego, a właściwie wokół tego, żeby nie zgrzeszyć. Wartości moralne mają jednak sens o tyle, o ile służą życiu w jego pełni.

Wydaje się, że sformułowanie siedmiu grzechów głównych było wynikiem duszpasterskiej troski, w której chciano podać konkretne zagrożenia moralne. Zakładano przy tym, że wszyscy pragniemy życia w jedności z Bogiem. Wydaje się jednak, że dzisiaj, po ogromnej fali ateizmu i agnostycyzmu, która pojawiła się w oświeceniu, nie jest to wcale takie oczywiste i trzeba ponownie wrócić do bardziej podstawowych spraw związanych z życiem i jego sensem, aby dopiero w oparciu o nie budować wartości moralne. Duchowości nie można sprowadzić do moralności i pobożności, jak to często robimy. Ona dotyczy życia w jego pełni, czyli życia w Duchu Świętym.

Do takiego wniosku jeszcze bardziej przekonuje nas zmiana „**acedii**” na „lenistwo”. Czasem nawet używa się na określenie tego lenistwa słowa „**acedia**”, jednak widzi się w niej znużenie w moralnym sensie, czyli rodzaj lenistwa. Natomiast **acedia** w jej właściwym znaczeniu jest pokusą przeciw życiu. Przyjęta, staje się grzechem przeciw życiu, stanem duchowej niemocy, a nie grzechem prze-

ciw zaniedbaniu obowiązków. Wytrwałość w wypełnianiu obowiązków jest lekarstwem leczącym acedię, jednak jest to środek leczniczy, a nie przeciwieństwo. Przeciwieństwem acedii jest pełnia życia w uciszeniu (*apatheia*). Żeby jednak do niej dojść, ma wprawdzie w nas umrzeć „stary człowiek” ze swymi pożądaniami. Jezus bardzo mocno podkreśla prawdę: *Bo kto chce zachować swoje życie, straci je; a kto straci swe życie z powodu Mnie i Ewangelii, zachowa je* (Mk 8,35). Acedia odbiera człowiekowi odwagę konfrontacji z tą prawdą, nie pozwala mu umrzeć dla świata. Jest niezdolnością do podjęcia krzyża, aby można było w wolności żyć w pełni.

Wspomniana zmiana w podejściu do życia duchowego pociągnęła także za sobą zmianę w pojmowaniu podstawowych pojęć i przez to w sposób zasadniczy rzutowała na sposób myślenia na Zachodzie przez ostatnich kilka lub kilkanaście wieków. Niezmiernie ważne staje się w tej sytuacji ponowne odkrycie dynamicznego charakteru duchowej walki, jaką nieustannie toczyliśmy niezależnie od tego, czy sobie z tego zdajemy sprawę, czy nie. Abba Antoni powiedział do abby Pojmena: „takie oto jest wielkie dzieło człowieka: winę swoją na siebie zawsze brać przed Bogiem, a pokusy spodziewać się aż do ostatniego oddechu”. Jednak musimy sobie zdawać sprawę, z kim walczymy i jakie są metody walki przeciwnika, o co mu w tej

walce chodzi. Jeżeli tego nie wiemy, to możemy bardzo łatwo ulec w niej, nie zdając sobie z tego w ogóle sprawy. Tak było np. w przypadku tego faryzeusza w świątyni. I to jest najgorszy stan człowieka, który przegrał, a uważa się za zwycięzcę(!).

Na ziemi nigdy nie możemy osiągnąć prawdziwej doskonałości i uzyskać pełnego pokoju. Nawet wówczas, gdy dokonamy sporych postępów w życiu duchowym, nieustannie musimy się liczyć z przeciwnikiem, który może nas pokonać i przeszkodzić w drodze do prawdziwego spotkania z Bogiem.

FUNDAMENTY ŻYCIA DUCHOWEGO

Nauka Ewagriusza z Pontu o walce duchowej uświadamia nam, że właściwie na ziemi nie można osiągnąć stanu, w którym uzyskalibyśmy pełnię spokoju i pewność, że walka duchowa została przez nas wygrana. Musimy pamiętać, że zawsze możemy spaść w dół i utracić to, co wydawałoby się, że osiągnęliśmy. Walka duchowa trwa aż **do naszego ostatniego tchnienia**. Jednak najgorsze jest to, że **Szatan potrafi wykorzystać prawie wszystko przeciw człowiekowi**. To, że może wykorzystać nasze grzechy, jest oczywiste. Natomiast niezmiernie niebezpieczne jest to, że potrafi wykorzystać przeciw nam nasze dobre intencje i dobre czyny. Wystarczy, że pobudzi nas do próżnej chwały i w ten sposób nami zawładnie. Jeżeli weźmiemy przykład tych dwóch modlących się w świątyni: faryzeusza i celnika, to widać, że celnik uświadomił sobie swój grzech i zaczął żałować i prosić Boga o przebaczenie. W ten sposób, podobnie jak syn marnotrawny, przemienił się i odnalazł życie. Natomiast faryzeusz, podobnie jak starszy brat

syna marnotrawnego, w swoim życiu postępowali dobrze, byli posłusznymi Prawu, wypełniali wszystko skrupulatnie, pilnowali przestrzegania przykazań, modlili się... Ich sytuacja była podobna do Szawła przed spotkaniem z Jezusem. Św. Paweł samo o sobie pisał:

Hebrajczyk z Hebrajczyków, w stosunku do Prawa – faryzeusz, co do gorliwości – prześladowca Kościoła, co do sprawiedliwości legalnej – stałem się bez zarzutu (Flp 3,5–6).

Można przypuszczać, że podobnie było z owym faryzeuszem w świątyni jak i starszym bratem. Jednak oni przez postawę wyniosłości całkowicie nie zrozumieli Boga i Jego zamiarów. Dlatego nie otworzyli się na Jego miłość. W swojej wyniosłości właściwie nie potrzebowali Bożego miłosierdzia.

W życiu duchowym wszystko jest łaską. Bardzo zdecydowanie wypowiedział to św. Paweł:

Łaską bowiem jesteście zbawieni przez wiarę. A to pochodzi nie od was, lecz jest darem Boga: nie z uczynków, aby się nikt nie chlubił (Ef 2,8–9).

Wiara w swoją porządność i przez to wynoszenie się nad innymi jest ogromnym zagrożeniem dla wierzących!

W tym momencie ujawnia się jednocześnie niezmiernie ważna zasada w naszym życiu, że nie jest **najważniejsze to, co człowiek zrobił, ale to, co zrobi z tym, co zrobił**. Rozważając dalej przypadek

faryzeusza i celnika w świątyni, widzimy, że faryzeusz żył uczciwie, co niewątpliwie zasługuje na pochwałę, jednak chlubienie się i wynoszenie w swojej porządności nad innymi, spowodowało całkowitą utratę wszystkich zasług jego życia. Odwrotnie było z celnikiem: przeżył on życie na kombinowaniu i zdobywaniu pieniędzy, nie zwracając uwagi na godziwość postępowania, przez co był godny potępienia. Jednak uznając przed Bogiem swój grzech i prosząc o przebaczenie z serca, otrzymał je.

Nie oznacza to jednak, że należy grzeszyć, aby potem uzyskać przebaczenie od Boga, ale jedynie to, że jeżeli nie mamy w sobie pokory, czyli dyspozycji do darmowego przyjęcia daru jako daru, to nawet najbardziej skrupulatne wypełnianie dobrych czynów, zachowywanie przykazań, modlitwy, uczynki miłosierdzia i pokuty nie dają nam przystępu do Boga. Próżna chwała i pycha zmieniają te nasze czyny w wyniosłość, brak miłości i stąd niezdolność przyjęcia Bożej miłości i udziału w Jego królestwie.

Jednak prawdziwa wiara wymaga wprowadzenia jej w życie, czyli życie zgodne z nią, wypełnianie wszystkiego tego, co nam nakazał Bóg. Pan Jezus bardzo wyraźnie mówił, że Jego miłość do Ojca polega na tym, że wypełnia wszystko to, co Mu Ojciec nakazał (zob. J 14,31). Od nas wymaga tego samego:

Jeżeli Mnie miłujecie, będziecie zachowywać moje przykazania... Kto ma przykazania moje i je zachowuje, ten Mnie miłuje. Kto zaś Mnie miłuje, ten będzie umiłowany przez Ojca mego, a również Ja będę go miłował i objawię mu siebie... Jeśli będziecie zachowywać moje przykazania, będziecie trwać w miłości mojej, tak jak Ja zachowałem przykazania Ojca mego i trwam w Jego miłości (J 14,15.21; 15,10).

Właściwie Jego przykazania streszczają się w przykazaniu miłości: *Przykazanie nowe daję wam, abyście się wzajemnie miłowali, tak jak Ja was umiłowatem; żebyście i wy tak się miłowali wzajemnie* (J 13,34).

Najważniejszym prawem w tej dziedzinie jest to, że człowiek może w pełni żyć jedynie w miłości, co bardzo trafnie wyraża – wspomianana już formuła Drugiego Soboru Watykańskiego:

Człowiek będąc jedynym na ziemi stworzeniem, którego Bóg chciał dla niego samego, nie może odnaleźć się w pełni inaczej jak tylko poprzez bezinteresowny, szczerzy dar z siebie samego (KDK 24).

Ta zasada brzmi nieco paradoksalnie: Nie możemy się zrealizować w pełni bez zrobienia z siebie bezinteresownego, szczerzego daru z siebie, czyli nie możemy być sobą bez więzi miłości z innymi. Jeżeli nie zaczniemy żyć dla drugiego, nie jesteśmy w stanie stać się sobą! Tylko miłość daje nam szansę pełnego życia. Dlatego wszelkie zamknię-

cie się na innych powoduje degradację. Nasza reguła życia musi zawierać w sobie tę zasadę daru z siebie, bo inaczej nie zrealizujemy siebie. Stąd bierze się szereg konkretnych zasad, np. zasada życzliwości, która jest najbardziej elementarnym wyznacznikiem miłości.

Trzeba jednak pamiętać, że miłość to nie emocjonalne przeżywanie, ale konkretny gest, w którym staramy się dać drugiemu prawdziwe dobro. Nie musi się to pokrywać z jego pragnieniami w tym momencie. Miłość obowiązuje wobec wszystkich właśnie ze względu na konieczność realizacji siebie. Wyraźnie mówi o tym Pan Jezus w Ewangelii, nakazując nawet miłość nieprzyjaciół (zob. Mt 5,44–48). Nie chodzi w tym przypadku o jakiś ideał, do którego powinniśmy dorastać, ale o to, byśmy się upodobniali do Ojca niebieskiego, czyli postępowali podobnie jak On postępuje i przez to stawali się Jego dziećmi.

W Ewangelii zostało jasno postawione pytanie o to, co jest najważniejsze w Prawie i u Proroków. Pan Jezusa odpowiedział na nie, wskazując miłość:

Jeden z nich [tj. faryzeuszów], uczony w Prawie, wystawiając Go na próbę, zapytał: ³⁶ «Nauczycielu, które przykazanie w Prawie jest największe?» ³⁷ On mu odpowiedział: «Będziesz miłował Pana Boga swego całym swoim sercem, całą swoją duszą i całym swoim umysłem. ³⁸ To jest największe i pierwsze przykazanie. ³⁹ Drugie podobne jest do niego:

Będziesz miłował swego bliźniego jak siebie samego.⁴⁰ Na tych dwóch przykazaniach zawisło całe Prawo i Prorocy» (Mt 22,35–40).

Mówiliśmy wcześniej o tym, że Szatan może wykorzystać prawie wszystko do tego, aby nas zniszczyć. Jednak on nie może wykorzystać przeciw nam autentycznej miłości w jej trzech wymiarach: miłość Boga, miłość bliźniego i siebie samego. Musi to być jednak autentyczna miłość. Widzimy zatem, że **walka duchowa toczy się wokół miłości**. Wszystkim innym Szatan może łatwo manipulować, stąd może nawet wspierać człowieka w jego „dobrym” działaniu, o ile nie ma w nim prawdziwego „szczerego, bezinteresownego daru z siebie” i szczerzej miłości Boga.

Można to bardzo łatwo zaobserwować we własnym, osobistym doświadczeniu. I tak jeżeli chcemy się skupić i modlić do Boga, zaraz pojawiają się jakieś konieczne prace do zrobienia, myśli, wspomnienia, zadania, które nas odrywają od obecności przed Bogiem. Wszystkie te myśli są tylko po to, aby nam przeszkodzić wejść w „żywą i zażyłą więź z Bogiem żywym i prawdziwym” – jak modlitwę określa na początku czwarta część Katechizmu poświęcona modlitwie osobistej. W tym momencie doświadczamy, że coś albo raczej ktoś stara się nam za wszelką ceną przeszkodzić w żywej więzi z Bogiem. Widać wyraźnie, że

myśli, jakie na nas przychodzą, intensyfikują się właśnie w tym czasie, gdy staramy się być przed Bogiem. Gdybyśmy np. chcieli się zrelaksować lub podzemać, to nie odczuwamy takiej natrętności myśli. Widać stąd, że w nas toczy się walka duchowa o oderwanie nas od żywej więzi z Bogiem, czyli walka o oderwanie nas od miłości Boga.

Podobnie możemy zobaczyć, jak łatwo przychodzi nam wejść w nieporozumienia z innymi i znaleźć „słuszne pretensje” do nich, które nas od nich oddalają i nie pozwalają wejść w autentyczną więź miłości braterskiej, budowania jedności przez zaufanie i życzliwość wzajemną. Jest to szczególnie tragiczne w przypadku więzi rodzinnych i małżeńskich, gdzie miłość powinna być czymś oczywistym. Nikt właściwie nie ma żadnych trudności w tym, by znaleźć słuszne pretensje do drugiego, co pozwala mu potem na złość i nawet agresję do niego. Nawet najbliższe więzi rodzinne w tym nie przeszkadzają! Nosząc w sobie z kolei słuszne pretensje do nich, usprawiedliwiamy zło, jakiego wobec nich dokonujemy (sic!). Widać w tym demoniczny charakter tego procesu. Dość charakterystyczne jest to, że w więzieniach duża część więźniów – a może nawet zdecydowana większość – uważa się za ludzi pokrzywdzonych przez innych i niesłusznie karanych. Tutaj słuszne pretensje do innych dają im usprawiedliwienie, swoiste

„rozgrzeszenie” siebie. Ten mechanizm jest dość powszechny i stanowi swoisty syndrom „pokrzywdzonego” lub jak to nazywam „biednej sierotki”. Taki mechanizm daje człowiekowi poczucie niewinności, bo przecież nigdy „pokrzywdzona sierotka” nie może być winna. To inni są winni wobec niej, ale ona nigdy nie jest winna wobec innych.

Jednocześnie dosyć łatwo możemy zobaczyć powiązanie pomiędzy naszymi nieporozumieniami z innymi z problemem prawdziwej akceptacji siebie w kondycji, jaką mamy, uznaniu prawdy odnoszącej się do nas i naszych czynów, czyli braku prawdziwej miłości do siebie, bo jedynie drogą prawdy możemy dojść do Boga. Nie potrafiąc przyjąć trudnej prawdy o sobie, uciekamy w agresję. Człowiek jest najbardziej agresywny wówczas, gdy się lęka. Wtedy właśnie szuka winy u innych, aby siebie usprawiedliwić przed sobą samym. Wówczas w „obronie siebie” jest zdolny nawet do najgorszych czynów.

W tym kontekście widać, że trzeba za wszelką cenę **budować naszą miłość do Boga** żywego i prawdziwego, która jest ściśle związana z więzią z innymi jako naszymi **braćmi**, czego z kolei nie potrafimy zrobić autentycznie, jeżeli sami nie potrafimy zobaczyć, że jesteśmy dla **siebie** darem od Boga i z tej racji mamy nieocenioną wartość, którą sami musimy odkryć. To są najważniejsze, a jed-

nocześnie powiązane ze sobą wymiary naszego życia duchowego. Dbałość o nie jest dla nas czymś najważniejszym, bo rozstrzygającym o naszym życiu lub śmierci na wieki.

Jeżeli chcemy budować regułę dla naszego życia, to jej konstrukcja musi być podobna do konstrukcji wieżowców, która oparta jest na filarach. Same piętra stanowią ażurową konstrukcję. Dobrze można to było zauważyć podczas zamachu na wieże World Trade Center. Na jedną z wież był wcześniej zorganizowany zamach już w latach 80. Ktoś wjechał ciężarówką wyładowaną dynamitem do podziemi, zdetonował ją, ale filary wieży były tak mocne, że nic się nie stało samym budynkom, jedynie trzeba było posprzątać podziemny garaż. Podobnie podczas ostatniego zamachu samo uderzenie samolotów w wieże nie spowodowało ich zwalenia. Zniszczonych zostało kilka pięter, w które uderzył samolot, natomiast same wieże odchyliły się jedynie mocno, ale po chwili wróciły do swojej właściwej pozycji. Zawaliły się one później tylko dlatego, że filary, na których się one wspierały, straciły swą wytrzymałość. W naszym życiu także musimy mieć mocno ustawione niewzruszone filary duchowe, a cała reszta powinna być „ażurową konstrukcją”, która może być na różny sposób zagospodarowana. Ważne w naszym życiu są zatem **filary**.

Filary życia

Jakie powinny być te filary? Otóż powinny one ugruntowywać nas w życiu w tych trzech wymiarach miłości, czyli powinny budować naszą żywą, autentyczną więź z Bogiem oraz podobnie żywą i autentyczną więź z innymi, czyli jedność z nimi oraz zrozumienie siebie i swojego powołania jako dziecka Bożego stworzonego na obraz Boży. Te trzy wymiary miłości muszą mieć bardzo konkretne miejsce w naszym życiu.

W odniesieniu do **relacji z Bogiem** w tradycji monastycznej mówi się o trzech podstawowych dziełach, które podejmujemy, aby wejść w autentyczny kontakt z Bogiem. Należą do nich: liturgia, *lectio divina*, czyli czytanie Słowa Bożego i modlitwa osobista. To są trzy podstawowe ćwiczenia, które powinniśmy praktykować w naszym życiu. Omówimy je w innej kolejności poczynając od *lectio divina*. Żeby kogoś pokochać, trzeba wpierw go poznać.

Lectio divina

Słowo Boże, czyli Pismo Święte, którego tłumaczenie zapewne każdy z nas ma w domu, było pierwotnie tekstem głoszonym, a następnie przekazywanym ustnie z pokolenia na pokolenie. Dopiero po pewnym czasie ktoś spisywał przekazywane słowa, a my obecnie mamy tłumaczenia tych tekstów. Z tej racji *lectio divina*, czyli osobiste czytanie Pisma

Świętego powinno polegać na słuchaniu Słowa, które Bóg do nas kieruje. Osobiste słuchanie jest niezmiernie ważne, gdyż sami rodzimy się w odpowiedzi na usłyszane słowo. Czasami mówi się, że Pismo Święte jest listem Boga skierowanym do nas, jednak trzeba pamiętać, że jest to żywe słowo, czyli słowo mówione. Musimy zatem czytać je tak, żeby słyszeć głos, który do nas dochodzi. Zauważmy różnicę w odbiorze słowa pisanego czy nawet czytanego, a słowa wypowiedzianego na żywo. Słowo żywe przyjmujemy ze szczególną uwagą i trafia ono do naszego serca. Słowo czytane w pewnym sensie przelatujemy, wydobywając z niego treść lub informację. Słowo żywe jest przekazem od osoby do osoby. W tekście pisanym tego wyraźnie nie widać.

Dawniej czytano wszystkie teksty na głos. Tak samo i Słowo Boże czytano na głos. Dopiero w średniowieczu pojawiła się sztuka czytania cichego. Dlatego *lectio* najlepiej doświadczamy podczas liturgii słowa w kościele. Lektor czyta, a wszyscy słuchają. Na zakończenie lektor mówi: „Oto Słowo Boże”. Po liturgii słowa powinna nastąpić homilia wygłoszona przez celebransa, w której powinien on ukazać słuchaczom znaczenie tego słowa dla nich dziś w ich życiu. I tak powinniśmy sami czytać Pismo Święte dla siebie, otwierając się na Słowo Boże dzisiaj do nas skierowane. Podstawową postawą jest postawa słuchania tego, co Bóg mówi do Kościoła,

a w Kościele do każdego z nas osobiście. Z odbioru tego żywego Słowa budzi się wiara, nadzieja i ufność. *Wiara rodzi się z tego, co się słyszy, tym zaś, co się słyszy, jest słowo Chrystusa* (Rz 10,17). Jednak żeby się ze słuchania narodziła nasza wiara, musi to być rzeczywiście słowo Chrystusa. Jeżeli przyjmujemy te słowa jako słowa Chrystusa, to w naszym sercu rodzi się spontanicznie wdzięczność i radość. Uświadamiamy sobie, że wszystko, co posiadamy, co osiągamy, wszyscy ludzie, jakich spotykamy, poczynając od naszych rodziców, rodzeństwa..., wszystko to jest darem od Boga, a nawet i przede wszystkim my sami jesteśmy dla siebie darem. W odpowiedzi na to hojne obdarowanie rodzi się w nas dziękczynienie, za co trzeba Bogu podziękować. W ten sposób pierwszą odpowiedzią, jaka się rodzi w sercu, jest modlitwa osobista.

Modlitwa osobista

Jest ona naszą odpowiedzią na uświadomienie sobie prawdy, że wszystko w naszym życiu jest łaską. Jest odpowiedzią skierowaną do Boga, który jest Osobą. Jak to określa Katechizm Kościoła Katolickiego, modlitwa osobista jest „żywym i osobistym związkiem z Bogiem żywym i prawdziwym”. „Jest odpowiedzią wiary na darmową obietnicę zbawienia” (KKK 2561). (13:47) W sposób szczególny jest odpowiedzią na doświadczenie

Boga podczas liturgii i *lectio divina*, a także w odpowiedzi na wszystkie doświadczenia, jakie w życiu, nas spotykają. W modlitwie osobistej zwracamy się do Boga w odpowiedzi na to wszystko czy to z uwielbieniem, czy z dziękczynieniem, czy z prośbą. Ma ona oczywiście bardzo różny charakter i formę zależną od sytuacji, od tego, co w niej chcemy wyrazić i od naszego osobistego przeżywania siebie i świadomości, jaką posiadamy. Właściwie modlitwa powinna nieustannie w nas pulsować, obejmując sobą wszystkie dziedziny życia i sytuacji. Powinna ona wyrażać świadomość nieustannej obecności Boga w naszym życiu. Jednak, abyśmy mogli mieć taką świadomość, musimy podejmować w pewnych momentach wysiłek bycia tylko przed Bogiem i dla Niego. Inaczej ta nieustanna świadomość rozplywa się w natłoku rozmaitych przeżyć i myśli, tracąc właściwy kierunek i sens.

Najbardziej intensywnym czasem pracy nad byciem obecnym przed Bogiem jest **medytacja**. Ona jest zasadniczo na takiej obecności skoncentrowana. Wszelki nasz wysiłek podczas niej powinien prowadzić do żywej obecności przed Bogiem. Inaczej niż w *lectio divina* i liturgii, gdzie musimy się skupić na słuchaniu, w modlitwie osobistej musimy z własnej woli, z własnego wyboru stanąć przed Bogiem i zwracać się do Niego z całym zaan-

gażowaniem i autentycznością. Jednak jest to zawsze odpowiedź na Boże wezwanie, a nie realizacja własnego pomysłu. Dlatego najlepszym miejscem na medytację jest czas po liturgii lub po *lectio divina*. Jest to czas, w którym rodzi się ta odpowiedź w sposób naturalny. Oczywiście we wszystkich tych trzech duchowych ćwiczeniach najważniejsza jest obecność przed Bogiem. Natomiast medytacja jako wysiłek skoncentrowania się na samej obecności przed Bogiem żywym stanowi niejako jądro modlitwy. Nie jest to łatwe, gdyż nieustannie nacierają nas rozmaite myśli, o czym już wyżej pisaliśmy. Stanowią one podczas modlitwy osobistej rozproszenia, które nas odciągają od żywej obecności. Nie można z nimi walczyć, bo taka walka byłaby równoznaczna z popadnięciem w sidła rozproszenia. Aby być przed Bogiem, trzeba po prostu wrócić do serca a w nim do obecności przed Bogiem, bo tylko w sercu możemy prawdziwie spotykać Boga. Poza sercem spotykamy co najwyżej wyobrażenie o Nim, a nie Boga żywego. Medytacja w ten sposób jest wysiłkiem zstępowania do serca, żeby tam spotkać Boga i z Nim trwać w przymierzu.

Liturgia

Tutaj nasza postawa jest trochę inna, ale podobna. Udział w liturgii jest udziałem, a nie robieniem

czegoś samemu według osobistego lub grupowego natchnienia. Ma ona swój ryt, ustalone teksty, tak, że możemy dziś powiedzieć, jakie teksty będziemy recytować np. 25 maja, jakie będą oracje, czytania, prefacja – wystarczy popatrzeć do kalendarza liturgicznego i odnaleźć odpowiednie teksty w księgach liturgicznych. To samo dotyczy *Liturgii godzin*. Jest ona modlitwą Kościoła i w imieniu Kościoła, dlatego nie jest modlitwą spontaniczną nawet we wspólnocie, jak się to dzieje często we wspólnotach modlitewnych. Taka modlitwa jest niewątpliwie modlitwą wspólną, ale ma charakter zbiorowej modlitwy osobistej, a nie liturgii.

Podczas liturgii włączamy się w coś, co istnieje, a Kościół tylko odtwarza to, co się dzieje przez wieki przed Bogiem. Unaocznia nam to Księga Apokalipsy, która jest pisana z perspektywy liturgii niebieskiej. Z jej pozycji patrzy na to, co się dzieje na ziemi. Wraz ze św. Janem wchodzimy na liturgię niebieską, na której jesteśmy jak małe dzieci, nierozumiejące jej głębi. Podczas udziału w liturgii ziemskiej recytujemy teksty święte i jak dzieci za panią matką przez powtarzanie uczymy się języka dialogu z Panem Bogiem. Naszą postawę podczas liturgii genialnie określił św. Benedykt w 19. rozdziale *Reguły*:

Wierzymy, że Bóg jest wszędzie obecny i że oczy
Pana patrzą na dobrych i na złych na każdym miej-

scu (Prz 15,3). ²Przede wszystkim jednak powinniśmy być tego niewzruszenie pewni wówczas, gdy uczestniczymy w Służbie Bożej. ³Dlatego też pamiętajmy zawsze, co mówi Prorok: *Służcie Panu z bojaźnią* (Ps 2,22), ⁴a również na innym miejscu: *Śpiewajcie mądrze* (Ps 46,8 Wlg) ⁵i *będę śpiewał Ci psalm wobec aniołów* (Ps 138[137],1). ⁶Zastanówmy się zatem, jak należy zachowywać się w obliczu Boga i Jego aniołów, i tak śpiewajmy psalmy, ⁷aby nasze serce było w zgodzie z tym, co głoszą nasze usta (RegBen 19).

Najważniejsza jest świadomość, w czym uczestniczymy, że jest to misterium, które nas całkowicie przerasta i tak naprawdę jest udziałem w liturgii niebieskiej. W naszym wewnętrznym nastawieniu powinniśmy zadbać o to, aby „nasze serce było w zgodzie z tym, co głoszą nasze usta”. Mamy mieć postawę dziecka, które uczy się języka modlitwy, tak jak kiedyś uczyło się ojczyściego języka od rodziców, powtarzając za nimi słowa i całe zdania, chociaż nie rozumiało ich w pełni. I podobnie jak w przypadku dzieci, które potem są kształtowane przez język, którego się uczą, zdobywają dzięki niemu swoją świadomość i sposób myślenia, tak i nas kształtuje liturgia w naszej relacji do Boga, a dzięki temu także w stosunku do innych ludzi.

W tym miejscu przypominają się słowa św. Pawła do Kolosan:

Słowo Chrystusa niech w was mieszka w całym swym bogactwie: z całą mądrością nauczajcie i napolinujcie siebie, psalmami, hymnami, pieśniami pełnymi ducha, pod wpływem łaski śpiewając Bogu w waszych sercach (Kol 3,16).

Dokładnie to się realizuje podczas liturgii, która uczy nas sposobu patrzenia na świat i właściwej postawy w życiu. I tak jest w *Regule* św. Benedykta, dla którego liturgia jest szkołą właściwej postawy w całym życiu, co dobrze wypowiada autentyczne hasło św. Benedykta: „Aby we wszystkim Bóg był uwielbiony” (zob. RegBen 57,9). Zatem całe nasze życie jest rodzajem liturgii.

Liturgia godzin ma więcej wspólnego z *lectio divina* niż z modlitwą osobistą, gdyż podczas niej nasza postawa powinna być skupiona na tekstach recytowanych i wykonywanych gestach oraz czerpaniu głębi, jaka w nich jest zawarta, a nie wyrażania siebie i swoich oczekiwań, przeżyć, wdzięczności itd. W związku z tym wiele osób ma z liturgią problem, bo oczekuje od niej czegoś podobnego do modlitwy osobistej, a nie włączenia się w misterium, które nas przerasta i wymaga od nas otwartości na treści, jakie otrzymujemy. Pewnie to samo powoduje, że ludzie bardziej lubią nabożeństwa paraliturgiczne, niż samą liturgię.

Liturgia wymaga jednak dopełnienia przez modlitwę osobistą, w której sami odnajdujemy się

wobec Boga, wchodzimy z Nim w osobistą więź. Podobnie *lectio divina* – osobiste wsłuchanie się w Słowo Boże – pogłębia nasze rozumienie Bożego działania i perspektywy, przed jaką nas stawia. Wszystkie te trzy praktyki duchowe powinny się wzajemnie wspierać i uzupełniać.

Jednocześnie w liturgii będącej wspólnym, w Kościele, staniem przed Bogiem spełniają się słowa, które powiedział Pan Jezus: *gdzie są dwaj albo trzej zebrani w imię moje, tam jestem pośród nich* (Mt 18,20). Dokonuje się w niej komunია osobowa w Chrystusie: wszyscy stajemy się jedno w Bogu Trójjedynym (por. J 17,21). Niezmiernie istotne jest to, że się zbieramy „w imię Jezusa”, co oznacza, że w Jego duchu, zgodnie z Jego zamysłem zbawienia ludzi przez miłość do końca, czyli w Jego miłości. To ostatecznie się sprowadza do tego, że gromadzimy się w Duchu Świętym. Wtedy Chrystus jest obecny we wspólnocie, która przez Ducha Świętego jest wspólnotą Kościoła. Nie ma takiej obietnicy w odniesieniu do samej jednostki. Stwarzając człowieka mężczyzną i kobietą, stworzył nas do wspólnoty i tylko we wspólnocie miłości, czyli w komunii jesteśmy w stanie stać się sobą. Warunkiem autentycznego kontaktu z Bogiem jest miłość w relacji do bliźniego:

Jeśliby ktoś mówił: «Miłuję Boga», a brata swego nienawidził, jest kłamcą, albowiem kto nie miłu-

je brata swego, którego widzi, nie może miłować Boga, którego nie widzi (1 J 4,20).

W ten sposób liturgia wprowadza nas jednocześnie w następny wymiar miłości – miłość bliźniego, bo w niej oba te wymiary miłości muszą być obecne. Modlitwa osobista i *lectio divina* są ćwiczeniami indywidualnymi, liturgia jest dziełem wspólnym z braćmi i siostrami. Brak miłości braterskiej we wspólnocie liturgicznej powoduje, że nie tworzymy prawdziwego Kościoła – zwołania w imieniu Pana.

Miłość bliźniego – jedność z innymi

Jest to drugie pole walki o miłość, jaka rozgrywa się w nas. Jak widzimy, rozpoczyna się ono już w liturgii, która wymaga wspólnoty w miłości braterskiej. Szatan jest oskarżycielem braci (zob. Ap 12,10; Hi 1,9) i dlatego podpowiada nam „słuszne” pretensje do innych. Nie przypadkiem najczęstszym grzechem, jaki u nas jest popełniany, to grzech obmowy, czyli grzech mówienia źle o innych. Takie mówienie w sytuacji, gdy nie jest to konieczne, jest odbieraniem dobrego imienia drugiemu. Sami przecież nie zawsze byliśmy dobrzy i nie chcielibyśmy, by ktoś rozgłaszał te nasze upadki. Jeżeli sami to robimy, to uczestniczymy w dziele Szatana, „oskarżyciela braci” (zob. Ap 12,10). On oskarża braci po to, aby rozbijać jed-

ność, podważać dobre myślenie o innych, niszczyć zaufanie do nich itd. Jeżeli ponadto złe mówienie o innych jest oparte na kłamstwie i insynuacji, grzech staje się szczególnie zły. Nazywamy go wówczas oczernieniem.

Miłość bliźniego przyjmuje bardzo różne sposoby wyrażania. Inna jest miłość do żony, inna do matki, córki, siostry, brata. Inna do sąsiadów, kolegów w pracy, przyjaciół, ludzi przygodnie spotykanych. Istotne w niej jest to, że zawsze musi zawierać w sobie szacunek do drugiego jako osoby, czyli musi respektować jego wolność i godność. Nie można nikogo poniżyć, lekceważyć, odbierać mu wolności. Jednocześnie szanowanie wolności i godności ma drugi wymiar: wymagania od drugiego odpowiedzialności w jego działaniu. Nie można mu pozwalać na byle co, na złe traktowanie innych z nami włącznie. Bardzo trudnym rodzajem miłości bliźniego jest napomnienie braterskie, które jest nam przykazane zarówno w Starym, jak i Nowym Testamencie. Głupia dobrotliwość nie jest miłością, bo nie szanuje godności drugiego, ale traktuje go jako półgłupka, kogoś bezrozumnego, a w związku z tym kogoś, komu trzeba wszystko wybaczyć, bo on nie jest w stanie zrozumieć. Tak traktujemy zwierzęta, ale nie można tak traktować ludzi. Oczywiście wyłączam z tego przypadki wyrażonej choroby psychicznej i brak poczytalności.

I tak np. nadopiekuńcza miłość macierzyńska, choć wydaje się miłością ofiarną aż do granic możliwości, miłością prawdziwie nie jest, bo nie respektuje wolności dziecka. Jest rodzajem zniewolenia emocjonalnego, które krzywdzi dziecko i czyni je niezdolnym do samodzielnego życia. Niestety jest sporo takich przypadków w życiu społecznym. O pogardzie i nienawiści nie trzeba tutaj wspominać, bo one same ze swej istoty są przeciwieństwem miłości. Wielkim nieporozumieniem jest sprowadzanie miłości do uczucia. W Biblii miłość zawsze jest związana z konkretną postawą i czynami.

Warto sobie zdać sprawę z tego, że walka zarówno o żywą więź z Bogiem, jak i o jedność z innymi ludźmi jest walką na śmierć i życie. Chodzi bowiem w niej o życie, które jest możliwe jedynie w komunii z Bogiem i ludźmi. Poza komunią istnieje jedynie rozpacz i śmierć duchowa. Jest to jednocześnie walka o naszą wolność i godność. Nie przypadkiem systemy totalitarne w swoim działaniu powielają strategię Szatana. W istocie są one jego narzędziami na ziemi. Dlatego w naszym życiu musimy bardzo mocno budować zasady wzajemnego współżycia na gruncie wzajemnej miłości. Wobec pokus przeciw tej miłości potrzebne jest z naszej strony zdecydowanie. Tak ustawia to św. Benedykt w swoim testamencie w przedostatnim rozdziale *Reguły*:

Podobnie jak istnieje zawziętość zła i gorzka, która oddala od Boga i prowadzi do piekła, ² tak jest i gorliwość dobra, która oddala od grzechów, a prowadzi do Boga i do życia wiecznego (RegBen 72,1n).

„Gorliwość” i „zawziętość” użyte w polskim przekładzie wyraża to samo słowo *zelus*, które oznacza kogoś zdeterminowanego. Otóż musimy być zdeterminowani, jeżeli chcemy budować prawdziwą wspólnotę w miłości. Stąd także małżeństwo opiera się na ślubach, które wyrażają zdecydowanie, „ślubuję ci miłość, wierność, uczciwość małżeńską i to że cię nie opuszczę cię aż do śmierci”. Dalej w 72. rozdziale *Reguły św. Benedykta* czytamy:

Ta więc właśnie gorliwość niechaj wyróżnia mniichów w ich życiu żarliwej miłości ⁴ tak, aby w okazywaniu czci jedni drugich wyprzedzali (RegBen 72,3n).

To samo trzeba także odnieść do małżeństwa. Musimy być zdeterminowani w naszym życzliwym nastawieniu do innych bez wykluczania kogokolwiek. Pan Jezus odnosi miłość także do nieprzyjaciół. Nie polega ona na przyjaznych uczuciach, ale na konkretnej gotowości pomocy w sytuacji, gdy są oni w potrzebie.

Miłość musi być budowana, pielęgnowana. W trosce o nią musimy mieć czas na życie we wspólnocie, czy to rodzinnej, czy w gronie przyjaciół, a nawet w gronie współpracowników. Mieć

czas, żeby się spotkać z innymi jak człowiek z człowiekiem, żeby mieć możliwość zrozumienia, wyrażenia sympatii, przyjaźni, wspierać się itd. Musimy na to mieć czas. Jak mawiała śp. prof. Zenomena Płużek: „Trzeba się czasem poprzyjaźnić!”.

Asceza

Trzeci wymiar miłości – **miłość siebie samego** – jest, jak się okazuje, ściśle związany z pierwszym wymiarem: miłości Boga. Chodzi w niej o budowanie w nas właściwej postawy otwartości na Boga i Jego wolę. Najczęściej powtarzaną myślą Pana Jezusa w Ewangeliach jest stwierdzenie:

Kto nie bierze swego krzyża, a idzie za Mną, nie jest Mnie godzien. Kto chce znaleźć swe życie, straci je. a kto straci swe życie z mego powodu, znajdzie je (Mt 10,38n).

Pełnia naszego życia jest zależna od tego, na ile pójdziemy drogą Bożego wezwania, abyśmy się stali Jego dziećmi. Jeżeli będziemy sami szukali szczęścia poza Nim, powtórzy się jedynie scenariusz z opisu grzechu rajskiego, co już nieraz w historii następowało. Do istoty ascezy należy umacnianie się w wyborze drogi wskazanej przez Jezusa.

Niestety ciągle mamy skojarzenie ascezy z „umartwianiem się”, swoistym odmawianiem sobie czegoś i przez to ćwiczenie się w cnotie rozumianej jako zdolność do znoszenia cierpień

i braków. Tak można ascezę rozumieć w wojsku i sporcie.

[Asceza]... nie jest ani pogardą ciała czy jakiegokolwiek daru, jaki otrzymało pierwsze stworzenie, ani jaką tresurą natury ludzkiej, która ma jej pozwolić na dokonywanie wyczynów w ramach swego porządku; jest warunkiem, bez którego nie może się urzeczywistnić zjednoczenie dwóch niewspółmiernych istot: człowieka i Boga (H. DE LUBAC, *O naturze i łasce*, 47).

W chrześcijaństwie zasadniczo asceza polega na podejmowaniu **krzyża**. Przy czym krzyż to nie samo cierpienie, ale cierpienie, które zostało przez nas przyjęte ze względu na Chrystusa i Ewangelię. Jest to cierpienie niechciane, cierpienie, które samo przychodzi na nas, ale przyjmujemy je i nie odpowiadamy złością, która się najczęściej przenosi na innych w postaci agresji na różny sposób wyrażanej.

Jak się okazuje, samo życie niesie ze sobą cierpienie i nawet jest ono konieczne do wzrostu duchowego. Odnosi się to do wszystkich. W Księdze Mądrości Syracha czytamy:

Synu, jeżeli masz zamiar służyć Panu,
przygotuj swą duszę na doświadczenie!
Zachowaj spokój serca i bądź cierpliwy,
a nie trać równowagi w czasie utrapienia!
Przylgnij do Niego, a nie odstępuj,
abyś był wywyższony w twoim dniu ostatnim.

Przyjmij wszystko, co przyjdzie na ciebie,
a w zmiennych losach utrapienia bądź wytrzymały!
Bo w ogniu doświadcza się złoto,
a ludzi miłych Bogu – w piecu utrapienia
(Syr 2,1–5).

A w Liście do Hebrajczyków autor nie waha się wypowiedzieć tej ogólnej prawdy nawet w odniesieniu do Syna Bożego w postaci ludzkiej:

A chociaż był Synem, nauczył się posłuszeństwa przez to, co wycierpiał (Hbr 5,8).

Widać, że znoszenie cierpienia i wytrwanie w nim jest czymś niezmiernie ważnym w życiu duchowym. Bez niego nie jesteśmy w stanie nauczyć się czegoś bardzo istotnego, jeżeli nawet sam Syn Boży musiał przejść przez to doświadczenie(!). Autor Listu do Hebrajczyków nazywa to „posłuszeństwem”.

Istnieje też asceza świadomie wybierana i podejmowana. Określiłbym ją jako „kontrolowane wchodzenie we własną słabość”. Kontrolowane, bo świadome, z wyboru i tak np. kiedy pościmy, to nie z tego powodu, że nie mamy niczego do jedzenia, ale mając pełną lodówkę, nie jemy, aby zmierzyć się z lękiem związanym z głodem i jego konsekwencjami ze względów duchowych. Chodzi w tym momencie o to, żeby doświadczyć siebie samego w sytuacji braku. Często pokusy przeciw ascezie i w ogóle przeciw brakom wyolbrzymiają wielkość

cierpienia, jakie trzeba będzie przeżyć. Spokojne wejście w ascezę pokazuje, że nasze wyobrażenia są napędzane lękiem, że wcale nam nie potrzeba np. jedzenia w takiej ilości, że nawet lepiej się czujemy, jedząc niewiele lub nawet nic przez jakiś czas. Takie doświadczenie daje poczucie wolności od lęku. Nie chodzi o „wykazanie się siłą”, ale o doświadczenie swojej słabości i umiejętności oddania jej Bogu.

W podejmowanych praktykach ascetycznych wypracowujemy wówczas w sobie cierpliwość i wytrwałość w nadziei i otwartości na Boga. Przez ascezę wznosimy się w wolności przez nieuleganie lękom i namiętnościom. W ten sposób coraz bardziej otwieramy serce na nowość, z jaką do nas przychodzi Bóg. Cały ten wysiłek jest zbudowany na modlitwie. Jedną z jej treści powinna być prośba o oderwanie się od przywiązań, jakie każdy z nas w sobie nosi. Bóg, kiedy przychodzi do nas, zawsze przychodzi z czymś, czego jeszcze nie znamy. Bóg zawsze zaskakuje. Trzeba prawdziwej wolności i otwartości, żeby można było przyjąć bez lęku Jego wezwanie pojawiające się w sumieniu.

Tutaj spotykamy powiązanie ascezy z modlitwą osobistą należącą do pierwszego wymiaru miłości: miłości Boga. Te pięć filarów zamyka się niejako w kole, tworząc zwartą całość wzajemnie powiązaną pomiędzy sobą. Prawdziwe życie buduje się na tych filarach w ich wzajemnym powiązaniu.

Tak należy budować nasze życie: możemy uzyskać jego stabilność i twórczą konstrukcję tylko wówczas, gdy zachowujemy to, co jest w nim najważniejsze. Kiedy sprawy najważniejsze się rozmywają, następuje kryzys, który ostatecznie prowadzi do tragedii. Najczęściej kryzys przychodzi po czasie, a nie od razu, co powoduje, że trudno jest nam uchwycić jego prawdziwe przyczyny. Często szuka się rozwiązania w rozmaity sposób, zupełnie tak, jak w chorobie zamiast leczyć przyczyny, staramy się eliminować skutki choroby. To niestety jedynie pogarsza sytuację na przyszłość, a nie leczy. Podobnie często postępują ludzie w przypadku kryzysu związanego z małżeństwem, życiem klasztornym, firmą czy wyczerpaniem zawodowym itd. Natomiast chorobę trzeba leczyć u źródła, co w przypadku naszego życia sprowadza się do przywrócenia miłości w jej wszystkich wymiarach i właściwym uporządkowaniu. Temu powinna służyć reguła, o której piszemy dalej.

Potrzeba wspólnoty

Niezmiernie ważna w odniesieniu do naszego życia jest prawda o jego charakterze relacyjnym. Stajemy się sobą jedynie w relacji z innymi i we wspólnocie z nimi. Nasze życie jest zawsze wspólnotą życia z innymi. Stąd konieczność życia we

wspólnocie, gdyż tylko w takim życiu możemy się zrealizować.

Istotne jest w tym momencie uświadomienie sobie, że właściwym miejscem, w którym się regułę realizuje, jest życie we wspólnocie. W pojedynkę nie można praktykować miłości. Tak jest, gdyż człowiek nie tylko się realizuje w pełni jedynie w spotkaniu z drugim, ale też jedynie w konkretnych relacjach odsłania się, na ile rzeczywiście żyje miłością i to nie tylko w relacji do bliźniego, ale też do Boga, jak o tym świadczy przytoczony fragment z 1 J 4,20. Do podobnych wniosków prowadzi znana sentencja Drugiego Soboru Watykańskiego wcześniej przytoczona. Jedynie w „szczerym, bezinteresownym darze z siebie” może człowiek prawdziwie stać się z sobą. A powiązanie jej ze słowami Pana Jezusa z wypowiedzi o sądzie ostatecznym:

Wszystko, co uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, Mnieście uczynili ... wszystko, czego nie uczyniliście jednemu z tych najmniejszych, tegoście i Mnie nie uczynili (Mt 25,40.45)

Tym bardziej podkreślają konieczność życia we wspólnocie, aby nasze życie duchowe się rozwijało. Z tej też racji wraz ze stworzeniem człowieka, Bóg jednocześnie stworzył małżeństwo jako miejsce, gdzie ma on dochodzić do swojej pełni. Z tej także racji św. Benedykt nazywa cenobitów „najdzielniejszym rodzajem mnichów” (zob. RegBen 1,13).

Właśnie w żywych relacjach braterskich tworzy się właściwa przestrzeń doświadczenia siebie i jednocześnie możliwość poprawiania swojego otwarcia. W *Regule* św. Benedykt mówi o wspólnocie klasztornej jako o „warsztacie”:

Naszą zaś pracownią, w której mamy się posługiwać pilnie tymi wszystkimi [narzędziami dobrych uczynków], jest stałe życie we wspólnocie w ramach klauzury klasztornej (RegBen 4,78).

Przy czym pierwszym narzędziem wymienionym przez niego jest właśnie wymienione wcześniej podwójne przykazanie miłości:

Przede wszystkim kochać Boga z całego serca, z całej duszy i z całej mocy, ² następnie bliźniego, jak siebie samego (RegBen 4,1).

Narzędzia dobrych uczynków, a przede wszystkim zasady zawarte w *Regule* właściwie ustawiają nasze życie duchowe, by prowadziło nas ono do Boga. Można powiedzieć, że św. Benedykt, pisząc *Regulę*, starał się tak uporządkować wszystkie wymiary zwykłego życia obejmującego podstawowe potrzeby człowieka, aby w każdym wymiarze tego życia człowiek był otwarty na obecność Boga i wszystko, co robi, było do Niego odniesione.

Od naszej życzliwości dla innych, także nieprzyjaciół, zależy nasz udział w królestwie Bożym, które jest królestwem miłości. W naszym życiu na ziemi nie ma niczego ważniejszego. Praktycznie

oznacza to naszą życzliwość i otwartość wobec wszystkich. Sami doświadczamy czasem „bezinteresownej nieżyczliwości”, co niestety zbyt często zdarza się np. w biurach, gdzie urzędnik wydaje się mieć jeden cel: pozbyć się intruza, który przyszedł coś załatwić. Oczywiście bardzo łatwo znaleźć powód, brak jakiegoś dokumentu, nie tak napisane podanie itd., które pozwalają mu odesłać człowieka z kwitkiem. Trzeba jednak pamiętać, że taki urzędnik nie może naprawdę być szczęśliwy, bo jest to niemożliwe! Nie można bowiem, odcinając się od elementarnego wymiaru miłości, być człowiekiem szczęśliwym. A już absolutnie jest to niemożliwe, gdy nosimy w sobie złość, zapalczywość, zazdrość czy nienawiść. Sami wówczas pograżamy się w piekle. Ta prawda odnosi się do wszystkich niezależnie od tego, czy żyje w małżeństwie, w klasztorze, czy jest samotny, czy jest duchownym, czy świeckim, czy młodzieńcem, czy starcem. Miłość bliźniego obowiązuje wszystkich, ale ma różny wyraz w zależności od rodzaju więzi osobowych.

Nasze życie na ziemi jest szkołą, w której mamy odkryć, na czym polega prawdziwe życie i uczyć się wybrać to, co dobre. Tego życia nie nauczymy się inaczej, jak żyjąc z innymi zgodnie z fundamentalnymi zasadami życia, czyli w miłości braterskiej. Pod koniec *Prologu do Reguły św.*

Benedykt pisze: „Mamy zatem założyć szkołę służby Pańskiej” (RegBen Prol 45). Wydaje się, że każdy powinien odnaleźć dla siebie właściwą szkołę „służby Pańskiej” i tak traktować swoje życie we wspólnocie, w której żyje. Bardzo ważne jest jednak to, by wybierając taką szkołę, zrobić to świadomie, wiedząc, co jest najistotniejsze i świadomie, dbając o zachowanie fundamentalnych zasad życia, by ostatecznie dojść do jego pełni.

Właściwą wspólnotą budowania życia duchowego jest Kościół, o którym Drugi Sobór Watykański pisze, że „jest w Chrystusie niejako sakramentem, czyli znakiem i narzędziem wewnętrznego zjednoczenia z Bogiem i jedności całego rodzaju ludzkiego” (KK 1). To jest najwłaściwsza przestrzeń odnajdywania się przed Bogiem i w Nim. Zauważmy, że taką wspólnotą eklezjalną jest małżeństwo i rodzina, gdyż opiera się ona na sakramencie i przez to jest wspólną drogą do Boga, bo jako sakrament jest „znakiem i narzędziem zjednoczenia z Bogiem”. W małżeństwie małżonkowie wspólnie poprzez wzajemną miłość doświadczają miłości Boga.

To samo dotyczy wspólnoty zakonnej, która nie jest sakramentem, jednak jest wspólnotą, w której każdy z osobna i wszyscy razem świadomie i zdecydowanie chcemy iść drogą do Boga, a wspólnota jest dla nas miejscem realizowania naszej

pielgrzymki poprzez realizację wzajemnej miłości w szkole Pańskiej, czyli Chrystusowej. I właściwie wszystkie wspólnoty kościelne powinny mieć ten sam cel realizowany na różny sposób, jednak nie powinno dla nich być ważniejsze nad ten cel. Taka jest także moja idea budowania wspólnoty razem ze świeckimi, w której powinniśmy razem iść drogą do Boga. Pragnę to zrobić w oparciu o *Regułę* św. Benedykta, której zasadnicza idea streszcza się w hasle: „Aby we wszystkim był uwielbiony Bóg”.

To hasło wyraźnie ustawia ją jako wspólnotę eklezjalną i dlatego w niej liturgia – wspólne w Kościele stawianie przed Bogiem i uwielbianie Go, jest źródłem i najwyższą realizacją naszego życia, co Sobór także podkreśla: „Liturgia jednak jest szczytem, do którego zmierza działalność Kościoła, i jednocześnie jest źródłem, z którego wypływa cała jego moc” (KL 10). Natomiast Jan Paweł II w swojej adhortacji „*Vita consecrata*” pisał o wspólnocie życia konsekrowanego, czyli wspólnocie, której zasadniczym celem jest wspólne kroczenie drogą do komunii z Bogiem, drogą zbawienia:

W życiu wspólnotowym musi też w jakiś sposób wyrażać się fakt, że braterska komunია jest nie tylko narzędziem służącym określonej misji, ale przede wszystkim przestrzenią teologalną, w której można doświadczyć mistycznej obecności zmartwychwstałego Pana (por. Mt 18, 20). Dzieje się tak dzięki wzajemnej miłości członków wspól-

noty, miłości karmionej Słowem i Eucharystią, oczyszczanej w sakramencie pojednania, podtrzymywanej przez modlitwę o jedność – szczególnie dar Ducha dla tych, którzy uważnie wsłuchują się w głos Ewangelii. To właśnie On, Duch Święty, wprowadza duszę w komunię z Ojcem i z Jego Synem Jezusem Chrystusem (por. 1 J 1,3), komunię, która jest źródłem życia braterskiego. To Duch prowadzi wspólnoty życia konsekrowanego ku wypełnieniu ich misji w służbie Kościołowi i całej ludzkości, zgodnie z ich własną pierwotną inspiracją (VC 42).

Potrzeba reguły życia

Mnisi mawiali: „Zachowaj regułę, a reguła zachowa (tj. ocali) ciebie”. Jest to prawda, o ile reguła jest dobrze uporządkowana i chroni to, co jest najważniejsze. Dlatego warto mieć właściwą regułę życia. Na końcu *Reguły* św. Benedykt mówi o niej, że jest „małą regułą dla początkujących”. Jednak ta „mała reguła dla początkujących” właściwie ustawia fundamentalne zasady. Bez ich zachowania, nie można mówić o duchowym rozwoju. Św. Benedykt na końcu swojej *Reguły* pisze:

Jeśli więc śpieszysz do ojczyzny niebieskiej, przestrzegaj najpierw z pomocą Chrystusa tej maleńkiej *Reguły*, którą pisaliśmy dla początkujących. A wówczas, otoczony opieką Bożą, owe wzniosłe szczyty cnoty i wiedzy, o których właśnie wspo-

minaliśmy, i ty także kiedyś osiągniesz! Amen
(RegBen 73,8n).

Jedyne przykazanie miłości odnoszące się do naszego życia, wymaga zrozumienia i nadania mu właściwych zasad praktycznych. Temu służą reguły życia we wspólnotach chrześcijańskich. Są one właściwie próbą wprowadzenia Ewangelii w konkretne życie określonej wspólnoty tak, aby pozwoliły iść prostą drogą do Pana. Powinny one zabezpieczyć to, co najważniejsze w naszym życiu, abyśmy, prowadząc życie pobożne, nie wpadli jednocześnie w pułapkę próżnej chwały. Temu służyło Prawo Boże, które św. Paweł nazywa Wychowawcą. Nie jest ono żadnym absolutem, czy gorsetem ograniczającym nasze ruchy, ale jest mądrością. Mądrość polega na tym, że umiemy rozpoznać to, co jest naprawdę dobre, a następnie daje nam moc to dobro wybierać i w swoim życiu realizować. Z drugiej strony mądrość pozwala rozpoznać to, co jest złe i to odrzucić.

Aby to zrobić, trzeba wprawdzie umieć rozpoznać to, co „dobre” dla nas w określonej sytuacji. Można zasadniczo powiedzieć, że **„dobre jest to, co służy życiu i prowadzi do osiągnięcia jego pełni”**. Według Ewangelii tą pełnią jest życie w królestwie Bożym lub, mówiąc inaczej, jest udział w zmartwychwstaniu Chrystusa. Dobra reguła powinna zawierać w sobie takie zasady, które

zabezpieczają wartości najważniejsze, czyli takie, które prowadzą do pełni życia. Zasady prawa czy reguły mają różną doniosłość, tworząc swoistą hierarchię ważności. Zwrócił na to uwagę Pan Jezus, gdy w polemice z Żydami powiedział do nich:

Chcę raczej miłosierdzia niż ofiary. Bo nie przyszedłem, aby powołać sprawiedliwych, ale grzeszników (Mt 9,13).

Nie neguje w tym zdaniu ofiary, ale wyżej nad nie stawia miłosierdzie. Pan Jezus ustawił miłość wyrażającą się miłosierdziem najwyżej w hierarchii. O jej trzech wymiarach mówiliśmy już wyżej. W tym momencie chodzi nam o konkretne zasady, które mają zabezpieczyć miłość w życiu praktycznym. Pod tym względem *Reguła* św. Benedykta jest wyjątkowa. Czytamy w niej np. takie wskazania odnoszące się do układu psalmów w liturgii, które św. Benedykt przez kilka rozdziałów szczegółowo omówił i wyznaczył na poszczególne godziny:

Pragniemy wszakże wyraźnie zaznaczyć, że jeśli komuś ten układ psalmów nie odpowiadał, może rozdzielić je inaczej, w sposób, jaki uzna za lepszy (RegBen 18,22).

Zatem wyznaczając jakiś porządek, jednocześnie św. Benedykt przyjmuje, że jeżeli ktoś uzna, że jest lepszy porządek lub zasada, to należy je zmienić. Jest to chyba jedyny tekst prawny, który tak ustawia sprawę. Jednak trzeba sobie zdawać sprawę, że

chodzi w tym przypadku o wymiar organizacyjny, a nie o zasady fundamentalne.

W każdym tekście prawnym trzeba wyróżnić zasadniczo 3 poziomy zasad zabezpieczających odpowiednie wymiary życia:

1. Zasady dotyczące fundamentów życia człowieka, czyli zasady uniwersalne ważne dla każdego człowieka niezależnie od tego, gdzie żyje i jaką wybrał drogę życia. Klasycznie mówiło się w tym momencie o „prawie naturalnym”. Dla chrześcijanina są to zasady Ewangelii.
2. Zasadnicze relacje i zasady życia we wspólnocie z innymi. Te zasady są inne w małżeństwie, a inne w życiu konsekrowanym. Jednak, gdy wybieramy określony rodzaj życia, one nas obowiązują i podważanie ich powoduje utratę sensu życia i właściwych relacji we wspólnocie, co powoduje załamanie właściwej dynamiki życia.
3. Na końcu są zasady odnoszące się do spraw organizacyjnych regulujących bieżące życie. Te zasady są najbardziej zmienne i wymagają korekt w zależności od warunków życia i sytuacji. W przeciwieństwie do poprzednich, które właściwie rządzą się niezmiennymi prawami, te powinny być dostosowywane do zmieniających się warunków życia, a próba ich utrzymania na siłę prowadzi do stagnacji i utraty żywotności.

Właśnie tak jest np. w *Regule* św. Benedykta. Przy czym u niego oczywiście pierwszy, najważniejszy poziom odnosi się do Ewangelii i jej zasad. Ten poziom jest niewzruszony i wymaga bezwzględnego zabezpieczenia. Niestety dzisiaj w duchu myślenia nowożytnego wprowadza się nowe pomysły filozoficzne i według nich stara się ustawić zasadnicze postawy człowieka. Nie można jednak tego robić bez poniesienia konsekwencji. Jednak życiem ludzkim rządzą określone prawa, niezmiennie i uniwersalne, podobne do praw przyrody i dlatego żadna filozofia nie jest w stanie ich zmienić. Jeżeli to robi, prowadzi to do tragedii. Takim tragicznym doświadczeniem w dwudziestym wieku były komunizm i faszyzm, które doprowadziły w konsekwencji do największych zbrodni w dziejach ludzkości. Na poziomie pierwszego wymiaru nie ma dowolności. Przyjmowane tutaj zasady muszą być zgodne z prawdą o życiu człowieka. Ewangelia je po prostu najpełniej wyraża.

Drugi poziom zasad odnosi się do określonych form relacji w życiu, które są różne w różnych sytuacjach i wspólnotach. Według innych zasad żyje kawaler, a według innych nawet ten sam człowiek, gdy się ożeni. Podobnie kobieta jako panna i żona. Inne są zasady życia mnicha, a inne człowieka świeckiego, inne kapłana, a inne lekarza itd. Niemniej jeżeli ktoś już został mężem lub ka-

planem, zasady życia związane z tym stanem są niewzruszone. Mógł wybrać inne życie, ale gdy już wybrał, obowiązują go określone zasady życia w tym powołaniu.

Natomiast zasady odnoszące się do praktycznych rozwiązań rządzą się inną logiką: one właśnie powinny być zmieniane, by dostosować je do aktualnej sytuacji i warunków, aby jak najlepiej wypełnić cel i sens powołania, jakie człowiek realizuje w swoim życiu oraz wypełnić miłość w odniesieniu zarówno do Boga, jak i do bliźnich i siebie samego.

Warto sobie jednocześnie uświadomić, że w swoim przeżywaniu nie patrzymy przez pryzmat tego, co jest ważne, a co mniej ważne, ale przez to, co **pilne** lub **mniej pilne**. W takim przeżywaniu okazuje się, że sprawy pilne niezależnie od ich wagi, wypierają sprawy „mniej pilne”, choćby były naprawdę ważne! W ten sposób spychamy sprawy ważne na margines naszego życia. Dochodzi nawet do tego, że na najważniejsze sprawy w naszym życiu „nie mamy czasu”! Tym samym całe nasze życie traci swój właściwy sens. Jeżeli chcemy zatem autentycznie i świadomie żyć duchowo, sprawy naprawdę ważne muszą być w centrum naszego życia i muszą być ustawione jako niewzruszone. Jeżeli jesteśmy wierzący, to wtedy Bóg nie może być zepchnięty na margines życia przez „pilne sprawy”. Jeżeli jest na marginesie, to nie jest On Bogiem żywym, co naj-

wyżej jest bożkiem. **Bóg prawdziwy albo jest w centrum życia, albo Go w nim w ogóle nie ma.**

Jeżeli się zastanawiamy nad tworzeniem wspólnoty i zasad jej życia, trzeba te trzy wymiary zasad uwzględnić. I nie można lekceważyć czy sobie swobodnie traktować zasad wynikających z Ewangelii i fundamentalnych praw rządzących życiem człowieka, jak też nie można absolutyzować zasad praktycznych. Niestety we wspólnotach religijnych często pojawia się zjawisko utrwalania zasad narosłych w historii i stawiania ich na poziomie zasad fundamentalnych, rozstrzygających o sensie życia. Z takim zjawiskiem miał do czynienia Pan Jezus i zdecydowanie je odrzucał:

Słusznie prorok Izajasz powiedział o was, obłudnikach, jak jest napisane: Ten lud czci Mnie wargami, lecz sercem swym daleko jest ode Mnie. ⁷ Ale czci Mnie na próżno, ucząc zasad podanych przez ludzi. ⁸ Uchyliście przykazanie Boże, a trzymacie się ludzkiej tradycji, dokonujecie obmywania dzbanków i kubków. I wiele innych podobnych rzeczy czynicie (Mk 7,6–8).

Dla mnie osobiście *Reguła* św. Benedykta jest tekstem fundamentalnym, klasycznym, na którym warto się oprzeć przy ustalaniu zasad wspólnego życia. Stąd pomysł budowania wspólnoty w oparciu o nią, a także pomoc innym w odnajdywaniu prawdziwego życia w oparciu o nią. Tutaj bardzo

wymowne jest hasło benedyktyńskie: *ordo et pax* – ład i pokój. W życiu we wspólnocie, a także w całym społeczeństwie najważniejszy jest pokój. Odgrywa on analogiczną rolę jak miłość we wzajemnych relacjach pomiędzy ludźmi. Stąd powtórzone przez św. Benedykta za psalmem 34 słowa: *szukaj pokoju, idź za nim* (RegBen Prol 17; Ps 34,15).

ROZEZNANIE DUCHOWE

Po owocach poznacie

W Ewangelii Pan Jezus często mówi przy różnych okazjach: „Po owocach poznacie”. Na przykład w Ewangelii według św. Mateusza, ostrzegając przed fałszywymi prorokami, mówi:

Strzeżcie się fałszywych proroków, którzy przychodzą do was w owczej skórze, a wewnątrz są draپیężnymi wilkami. ¹⁶ Poznacie ich po ich owocach. Czy zbiera się winogrona z ciernia, albo z ostu figi? ¹⁷ Tak każde dobre drzewo wydaje dobre owoce, a złe drzewo wydaje złe owoce. ¹⁸ Nie może dobre drzewo wydać złych owoców ani złe drzewo wydać dobrych owoców. ¹⁹ Każde drzewo, które nie wydaje dobrego owocu, będzie wycięte i w ogień wrzucone. ²⁰ A więc: poznacie ich po ich owocach (Mt 7,15–20; zob. też Łk 6,43–45).

Obraz drzewa i poznawania po owocach jest niezmiernie wymowny. Zazwyczaj potrafimy rozpoznać drzewa po ich kształcie, korze, konarach... Jednak jeżeli ktoś nie jest fachowcem, to bardzo łatwo może się pomylić. A nawet fachowcy nie zawsze są w stanie rozpoznać drzewo po jego wygłą-

dzie, szczególnie gdy brak na nim liści. Natomiast kiedy zerwiemy z niego owoc, od razu każdy wie, jakie to drzewo. I podobnie rozpoznajemy człowieka. Może on obiecywać, mówić wspaniałe rzeczy, mieć dar wymowy, deklarować, że jest wierzący i nawet być „obrońcą wiary”. Jego deklaracje mogą być nawet bardzo szczere w jego subiektywnym przekonaniu, jednak czy tak jest, czy nie, poznajemy po owocach jego życia. To samo odnosi się do nas samych, bo my także deklarujemy wspaniałe rzeczy, uważamy się za wierzących, dobrych itd. Ale czy tak jest, poznajemy po owocach. I to poznanie jest dla nas osobiście znacznie ważniejsze niż poznanie prawdy o innych, gdyż prawda o nas rozstrzyga o naszym udziale w życiu wiecznym.

W tym momencie warto sobie zdać sprawę z istniejącej w nas tendencji do usprawiedliwiania siebie, obrony wobec zarzutów, naciągania rzeczywistości tak, by odpowiadała naszym wyobrażeniom i oczekiwaniom. Bardzo dobrze widać ten mechanizm u innych, jednak istnieje on także u nas. Każdy z nas jest geniuszem w oszukiwaniu siebie samego. Te oszustwa idą tak daleko, że nawet jesteśmy w stanie wierzyć w nie i bronić ich z całą zapalczliwością, przeżywać mniemane krzywdy, niesprawiedliwości itd. Ten mechanizm jest demoniczny, bo, jak to powiedział Pan Jezus, *diabeł jest kłamcą i ojcem kłamstwa* (J 8,44). Kiedy

sami kłamiemy, czerpiemy z niego. Pan Jezus bardzo zdecydowanie powiedział o tym zakłamaniu i nazwał go grzechem przeciw Duchowi Świętemu:

Dlatego powiadam wam: Każdy grzech i bluźnierstwo będą odpuszczone ludziom, ale bluźnierstwo przeciwko Duchowi nie będzie odpuszczone.³² Jeśli ktoś powie słowo przeciw Synowi Człowieczemu, będzie mu odpuszczone, lecz jeśli powie przeciw Duchowi Świętemu, nie będzie mu odpuszczone ani w tym wieku, ani w przyszłym.³³ Albo uznajcie, że drzewo jest dobre, wtedy i jego owoc jest dobry, albo uznajcie, że drzewo jest złe, wtedy i owoc jego jest zły; bo z owocu poznaje się drzewo.³⁴ Plemię żmijowe! Jakże wy możecie mówić dobrze, skoro źli jesteście? (Mt 12,31–34).

Te słowa padły, kiedy faryzeusze zarzucali Panu Jezusowi, że wyrzuca złe duchy mocą Belzebuba, władcy złych duchów. Jezus wykazał im, że ich argumentacja jest sprzeczna sama w sobie, bo jeżeli królestwo Szatana jest wewnętrznie skłócone, to nie ma szans przetrwania, musi upaść. Natomiast jeżeli jest ono rzeczywiście mocne, to Szatan nie może występować przeciw sobie samemu. Grzech przeciwko Duchowi Świętemu jest kłamstwem. Polega na nazwaniu prawdy fałszem i fałszu prawdą w sytuacji i zakresie, jakie każdy jest w stanie sam rozpoznać.

Właściwą wartość człowieka najlepiej poznajemy po owocach, a nie po zamiarach, intencjach,

deklaracjach, filozofii, głoszonej doktrynie itp. Nasuwa się jednak pytanie: Co to za owoce? Jakie owoce są dobre, a jakie złe?

Może najpełniej na ten temat pisze św. Paweł w Liście do Galatów, gdzie mówi o różnicy między życiem według ciała i według ducha. Kiedy uwzględnimy, że dla niego zgodnie z 7. rozdziałem Listu do Rzymian ciało jest właściwie tożsame z grzechem, to życie według ciała oznacza życie grzeszne. Natomiast życie według ducha jest życiem Bożym.

Oto, czego uczyć: postępujcie według ducha, a nie spełnicie pożądania ciała. ¹⁷ Ciało bowiem do czego innego dąży niż duch, a duch do czego innego niż ciało, i stąd nie ma między nimi zgody, tak że nie czynicie tego, co chcecie. ¹⁸ Jeśli jednak pozwolicie się prowadzić duchowi, nie znajdziecie się w niewoli Prawa. ¹⁹ Jest zaś rzeczą wiadomą, jakie uczynki rodzą się z ciała: nierząd, nieczystość, wyuzdanie, ²⁰ uprawianie bałwochwalstwa, czary, nienawiść, spór, zawiść, wzburzenie, niewłaściwa pogoń za zaszczytami, niezgoda, rozłamy, ²¹ zazdrość, pijaństwo, hulanki i tym podobne. Co do nich zapowiadam wam, jak to już zapowiedziałem: ci, którzy się takich rzeczy dopuszczają, królestwa Bożego nie odziedziczą. ²² Owocem zaś ducha jest: miłość, radość, pokój, cierpliwość, uprzejmość, dobroć, wierność, ²³ łagodność, opanowanie. Przeciwnym takim *cnotom* nie ma Prawa. ²⁴ A ci, którzy należą do Chrystusa Jezusa, ukrzyżowali ciało swoje

z jego namiętnościami i pożądaniami. ²⁵ Mając życie od Ducha, do Ducha się też stosujemy. ²⁶ Nie szukajmy próżnej chwały, jedni drugich drażniąc i wzajemnie sobie zazdroszcząc (Ga 5,16–26).

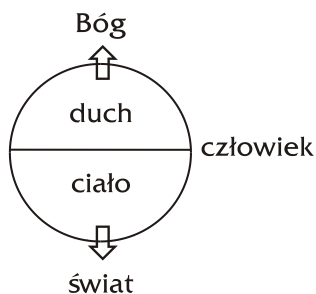
Święty Paweł przedstawia to, co się rodzi z ciała, czyli owoce ciała i owoce ducha. Musimy jednak pamiętać, że rozumie on ciało i ducha inaczej niż my. Zazwyczaj jesteśmy przyzwyczajeni przez ciało rozumieć naszą fizyczność, czyli nasz organizm, fizyczno-zmysłową konstrukcję. Mówiąc ciało, myślimy o rękach, nogach, wzroku, powonieniu itd. Natomiast pod określeniem ducha rozumiemy coś niewidzialnego, ale dającego nam świadomość, rozum, wolną wolę. Jest to typowo greckie rozumienie ciała i ducha. Ciało jest fizyczne, widzialne, namacalne, przestrzennie ograniczone, śmiertelne, ulegające rozpadowi. Duch natomiast jest niewidzialny, nieśmiertelny, niedający się podzielić, nienamacalny itd. Człowiek złożony z ducha i ciała przy takim ich rozumieniu nie może być jedną spójną całością. Duch i ciało bowiem stanowią absolutnie przeciwstawne sobie elementy. Próba połączenia ich w jedno przypomina kwadraturę koła. Niestety jesteśmy przyzwyczajeni do takiego spojrzenia. Niesie to ze sobą fatalne konsekwencje między innymi w rozumieniu życia duchowego.

W Biblii natomiast człowiek jest nierozzerwalną jednością, a duch i ciało są dwoma wymiarami lub

dwiema stronami jego życia. Jego jednoczącym centrum jest serce. I w nim rozgrywa się zasadnicza walka duchowa. W nim rozstrzyga się to, co najważniejsze, w nim zapadają decyzje o życiu i śmierci.

Duch i ciało

Jeżeli przyjrzymy się tekstowi św. Pawła, zobaczymy, że patrzy on na ducha i ciało inaczej niż nam sugeruje grecka filozofia. Zupełnie nic nie mówi o „metafizycznej” strukturze ducha czy ciała, ale używając tych pojęć, pisze o dynamizmie życia człowieka. Duchem nazywa to, co go kieruje ku Bogu. Natomiast ciałem to, co zwraca go do świata.



Według drugiego opisu stworzenia Bóg ulepił człowieka z prochu ziemi – to jest jego ciało, i tchnął w jego nozdrza swego Ducha. W Środę Popielcową podczas posypywania głowy popiołem słyszymy słowa: *prochem jesteś i w proch się obrócisz*

(Rdz 3,19). Te słowa wyrażają prawdę o naszym ziemskim życiu, że jesteśmy tutaj swoim ciałem. **Ciało** to my na świecie i zwrócenie do świata, czyli właściwie nasze uczestnictwo w życiu na świecie. Przy czym dla Żydów słowo świat także ma nieco inne znaczenie niż w myśleniu greckim. Dla Greków przez świat wpierw rozumie się kosmos, przyrodę, zatem mówiąc świat, myślimy wpierw o słońcu, księżycu, górach, jeziorach, drzewach itd., czyli o naturze. Natomiast dla Żydów świat oznacza wpierw to, co my nazywamy światem, pytając czasem: „A co słyhać na świecie?”. Rozumiemy przez to: „Co się mówi w znaczących środowiskach: w polityce, w środowisku artystycznym, w kręgach naukowych?” Dla Żydów rozumienie świata jako natury jest wtórne. Wpierw myślą oni o relacjach międzyludzkich.

Z kolei **duch** w Biblii związany jest z Bogiem. To Bóg tchnął w nozdrza człowieka, dając mu ducha. Stąd ze swej natury duch dąży do Boga. Z tej racji św. Paweł nigdzie nie mówi o grzechach ducha! Pomiędzy duchem i ciałem istnieje napięcie: duch dąży do Boga, a ciało do świata. Takie napięcie będzie istniało zawsze, o ile będzie istniała różnica między zasadami życia na świecie i u Boga. A taka różnica istnieje, co najdobitniej odsłoniła do końca historia Jezusa z Nazaretu, wcielonego Syna Bożego. Świat zabił Syna Bożego. Według

św. Jana na świecie panują trzy pożądliwości: *pożądliwość oczu, ciała i pycha tego żywota* (zob. 1 J 2,16). Ciało mające swój punkt odniesienia w świecie kieruje się tymi samymi namiętnościami.

Pożądliwość ciała to wszystkie przyjemności nie tylko zmysłowe, ale także np. hazard, gry komputerowe. Pożądliwość oczu to wszelka żądza posiadania dóbr, ale nie tylko materialnych, ale także np. wiedzy, która daje poczucie wyższości i panowania. Odnosi się to również do pożądania stanowisk, godności i różnego rodzaju przywilejów. Pycha tego żywota polega na zdobywaniu władzy, znaczenia, sławy, aby okazać się lepszym od innych, aby błyszczeć przed innymi. Święty Paweł te pożądliwości nazywa grzechem, czasem utożsamiając je wprost z ciałem.

Zobaczmy, co św. Paweł wymienia jako owoce ciała: *nierzęd, nieczystość, wyuzdanie* – to można wiązać z ciałem rozumianym fizycznie. Jednak dalej mówi: *uprawianie bałwochwalstwa, czary, nienawiść, spór, zawiść, wzburzenie, niewłaściwa pogoń za zaszczytami, niezgoda, rozłamy, zazdrość* – czego nie można wiązać ściśle z naszą fizycznością i zmysłowością. Następnie wracają grzechy związane ze zmysłowością: *pijaństwo, hulanki*. Zatem większość z wymienionych grzechów nie ma nic wspólnego z fizycznością i zmysłowością człowieka, jednak wszystkie są związane z naszym życiem w świecie

i z relacjami z ludźmi. Są one owocem panujących na świecie układów oraz przyjmowanych wartości.

Duch natomiast dąży do Boga i stąd jego owocami są: *miłość, radość, pokój, cierpliwość, uprzejmość, dobroć, wierność, łagodność, opanowanie*. Do tej listy, którą przytacza św. Paweł, trzeba dołączyć przynajmniej *pokorę, przebaczenie, wdzięczność i wytrwałość*. Jak widzimy, u św. Pawła nie ma refleksji nad metafizyczną strukturą czy sposobem istnienia ciała czy ducha. Mówi on o dwóch dynamizmach, które działają w człowieku i przynoszą określone owoce w życiu. W Biblii człowiek jest jednością i nie istnieje w nim duch bez ciała. Duch wyraża się przez ciało, a ciało jest narzędziem i wyrazem ducha. Przy czym ciało jako odnajdywanie się w relacjach z innymi ludźmi odgrywa bardzo ważną rolę. Bez niego nie mamy możliwości stać się człowiekiem, o czym mówi wspomniana już sentencja soborowa o człowieku jako jedynej istocie, którą Bóg stworzył dla niej samej, a która nie może się zrealizować inaczej jak tylko przez bezinteresowny dar z siebie. Ten dar musi być konkretny, tak jak to jest w pierwszej realizacji człowieczeństwa po stworzeniu przez więź małżeńską. Samotny, smutny Adam po przedstawieniu mu przez Boga Ewy zawołał z radością: *Ta dopiero jest kością z moich kości i ciałem z mego ciała!* (Rdz 2,23). Ewa stała się dla niego dopełnieniem, a więź z nią warunkiem spełnienia.

Jeżeli przyjmiemy rozumienie ciała jako wyrazu naszego zakorzenienia w świecie, jako żywej relacji do innych ludzi, to upraszcza się nasze rozumienie tekstów biblijnych mówiących o ciele. O więzi Adama z Ewą czytamy: *Dlatego to mężczyzna opuszcza ojca swego i matkę swoją i łączy się ze swą żoną tak ściśle, że stają się jednym ciałem* (Rdz 2,24). Jeżeli chodziłoby o ciało fizyczne, to dwoje ludzi nie może być dosłownie jednym ciałem. „Jedno ciało” byłoby jedynie metaforą ich wzajemnej miłości. Natomiast kiedy mówimy o biblijnym pojęciu ciała, to rzeczywiście stają się jednym ciałem, bo: mieszkają w jednym domu pod jednym dachem, „jedzą z jednej miski”, śpią w jednym łóżku, mają wspólne dzieci, razem troszczą się o utrzymanie domu, ich pozycja w społeczeństwie jest taka sama, itd. Są ze sobą powiązani całkowicie. Jeżeli są bogaci, to razem; jeżeli biedni, to razem. Gdyby w małżeństwie jedno było bogate, a drugie biedne, to nie byłoby to małżeństwo, ale układ pomiędzy panem i służącą lub panią i sługą. W prawdziwym małżeństwie nie ma różnicy godności, posiadanych dóbr itd. Małżonkowie są ze sobą zespoleni i niosą wspólny los, mają wspólną relację do świata.

W Nowym Testamencie z kolei słowo ciało zostało użyte do określenia tajemnicy Kościoła. Święty Paweł mówi, że Kościół jest Ciałem Chrystusa. Jeżeli myślimy o ciele, jako o struk-

turze fizyczno-zmysłowej, to w odniesieniu do Kościoła może to określenie być użyte jedynie metaforycznie. Kościół nie jest fizycznością Chrystusa. Natomiast, jeżeli mówimy, że Kościół jest Jego obecnością w świecie, realizując Jego misję wobec wszystkich ludzi, to jest to dosłownie Ciało Chrystusa. Sobór mówi o Kościele:

Kościół jest w Chrystusie niejako sakramentem, czyli znakiem jedności, zjednoczenia Boga z Człowiekiem i ludzi między sobą (KK 1).

Po co Chrystus przyszedł na świat? Po co przyjął ciało? Żeby nas zbawić: *Bóg nie posłał swego Syna na świat po to, aby świat potępił, ale po to, by świat został przez Niego zbawiony* (J 3,17). Jego relacja do świata wyraża się miłością zbawiającą. Kościół przejmuje od Niego tę misję i taka też jest jego relacja do świata, jak to wyraźnie określa Sobór. Kościół w swoim odniesieniu do świata ma to samo dążenie i tego samego ducha, Ducha Świętego, i dlatego jest Ciałem Chrystusa. Realizuje się to wprawdzie przede wszystkim przez sakramenty i głoszenie Ewangelii. W ten sposób stara się zbawić wszystkich ludzi. W tym sensie jest Chrystusem działającym na świecie, jest Jego Ciałem. Nie trzeba dodawać określenia: „mistycznym”, gdyż jest po prostu obecnością na świecie Chrystusa, który konkretnie działa w Kościele.

Centrum życia Kościoła, jak to podkreślił Sobór, jest liturgia, która jest źródłem i szczytem chrześcijańskiego życia. W sakramencie Eucharystii zawiera się miłość do końca, która przynosi zbawienie. Kościół, jak pisze Sobór, jest jakby sakramentem komunii Boga z ludźmi. Świat, do którego Kościół prowadzi ludzi przez Ewangelię, to królestwo Boże. W nim ciało człowieka osiąga zamierzoną przez Boga harmonię z duchem, bowiem zarówno relacją do Boga, jak i do współbraci w Chrystusie jest wzajemna miłość i to miłość do końca. Pomiędzy Bogiem a Jego królestwem istnieje jedność i w ten sposób w człowieku następuje pewna harmonia pomiędzy duchem i ciałem.

Podobnie, gdy takie określenie ciała odniesiemy do Eucharystii, nabiera ona dla nas bardzo przejrzystego znaczenia. Czym jest Eucharystia? Jest Ciałem i Krwią Chrystusa. Jeżeli zwracamy uwagę na fizyczność, to akcent przy Eucharystii pada na postacie, na to, co widoczne, namacalne... Jeżeli patrzymy na ciało jako nasze odnajdywanie się w świecie, to kiedy przyjmujemy Ciało Chrystusa i mówimy „Amen” – „niech się tak stanie”, sami stajemy się tym Ciałem, czyli stajemy się Chrystusem żyjącym na świecie i głoszącym Ewangelię. Stajemy się świadkami Chrystusa. Jednocześnie przyjęcie Eucharystii włącza nas w Ciało Chrystusa, jakim jest Kościół. To jedno-

cześniej zobowiązuje do przyjęcia zadania udziału w zbawianiu świata przez Chrystusa, czyli do udziału w Jego misji. Przyjmując w Eucharystii Ciało Chrystusa, w istocie przyjmujemy Jego miłość zbawiającą, która nas wzywa do miłości w życiu na świecie. „Miłość przyzywa miłość” – jak pięknie powiedział Jana Paweł II. Kapłan na zakończenie Mszy św. mówi: „Idźcie w pokoju Chrystusa”, czyli idźcie z tym Chrystusem, z Jego miłością, któregoście przyjęli, na świat. Macie być Chrystusem, Jego Ciałem na świecie.

To wzięte z Biblii rozumienie ciała bardzo harmonizuje z wszystkim, co mówi Pan Jezus w Ewangelii. Nie można przyjąć Ciała Chrystusa i nie mieć w sobie Jego miłości. Jeżeli człowiek rzeczywiście przyjmuje Chrystusa, a na świecie okazuje się krętaczem, oszustem, lekceważącym innych, to okłamuje i siebie, i innych.

To, czy autentycznie przejęliśmy komunię, ukazuje nasza postawa na świecie. Kim jesteśmy? Czy rzeczywiście jesteśmy Ciałem Chrystusa? Jeżeli nie, to znaczy, że nasze przyjęcie nie było prawdziwe i nasze „Amen” wypowiedziane podczas komunii nie było prawdziwe.

Wiara i jej owoce

Takie rozumienie ciała harmonizuje z właściwym zrozumieniem słowa wiara. Dawniej uczono

nas, że „wiara jest przyjęciem za prawdę tego, co Bóg objawił, a Kościół podaje do wierzenia, jako objawione przez Boga”. W tym określeniu wiary akcent pada na przyjęcie czegoś za prawdę, co od naszej strony oznacza uznanie głoszonych przez Kościół prawd. Natomiast wiara w Biblii oznacza zawierzenie Bogu. Jest ona relacją osobową, a nie jedynie intelektualnym uznaniem prawdy. Pan Jezus obiecuje: *Kto wierzy we Mnie choćby i umarł, żyć będzie* (J 11,25). Różnicę pomiędzy wiarą, jako przyjęciem ogólnej prawdy, a osobowym zawierzeniem najlepiej ilustruje dialog Pana Jezusa z Martą przed wskrzeszeniem Łazarza.

«Panie, gdybyś tu był, mój brat by nie umarł.²² Lecz i teraz wiem, że Bóg da Ci wszystko, o cokolwiek byś prosił Boga». (...) «Ja jestem zmartwychwstaniem i życiem. Kto we Mnie wierzy, to choćby umarł, żyć będzie.²⁶ Każdy, kto żyje i wierzy we Mnie, nie umrze na wieki. Wierzysz w to?» (...) «Tak, Panie! Ja mocno wierzę, że Ty jesteś Mesjasz, Syn Boży, który miał przyjść na świat». (...) «Usuńcie kamień!» Siostra zmarłego, Marta, rzekła do Niego: «Panie, już cuchnie» (J 11,21.25.27.39)

Wiara jest zawierzeniem. Ujawnia się to szczególnie przy uzdrowieniach. Pan Jezus często mówił proszącym o uzdrowienie: niech ci się stanie według twojej wiary. I rzeczywiście jeżeli ktoś wierzył, był uzdrowiony. W odniesieniu do Jego wizyty w Nazarecie Ewangelista napisał uwagę: *I nie-*

wiele działał tam cudów z powodu ich niedowiarstwa (Mt 13,58).

Prawdziwe zawierzenie poznaje się po tym, co człowiek robi. Wiara to nie deklaracja ideowa, przyjęcie jakichś ogólnych prawd, ale zawierzenie, czyli uznanie czegoś za prawdę i pójście za tym z całą nadzieją i ufnością.

Powstaje pytanie: A jaka jest nasza wiara? Czy jesteśmy ludźmi wierzącymi? Czy naprawdę przyjmujemy Chrystusa?

Warto na wstępie sobie uświadomić, że jesteśmy mistrzami w okłamywaniu samych siebie. Bardzo dobrze wiedzieli o tym mnisi. Doroteusz z Gazy pisze, że jeżeli ktoś wierzy sobie, to jest człowiekiem bardzo naiwnym, żeby nie powiedzieć głupcem. Świadomość tego jest podstawą wielkiego nacisku na posłuszeństwo, na konkretne posłuszeństwo drugiej osobie. Posłuszeństwo jest najmocniejszym narzędziem do walki z tym mechanizmem oszukiwania siebie. Jest ono tak mocne, że jesteśmy nawet w stanie w swoim myśleniu podkładać najszlachetniejsze intencje złym z natury działaniom. Dlatego też nie możemy łatwo iść za naszymi myślami. Ich prawdę weryfikuje życie, przynosząc właściwe owoce.

Dobłą ilustracją wewnętrznego zakłamania jest scena z tzw. bogatym młodzieńcem. Najlepiej opisuje ją św. Marek (zob. Mk 10,17–22). W pewnym

momencie przybiegł do Pana Jezusa człowiek, padł przed Nim na kolana i pytał: *Nauczycielu dobry, co mam czynić, aby osiągnąć życie wieczne?* (Mk 10,17). Sądząc z jego zachowania, wydawałoby się, że ten człowiek jest gotów zrobić wszystko, żeby się zbawić. Pan Jezus najpierw pyta go, dlaczego nazywa Go dobrym. Potem przypomina mu o przykazaniach z drugiej tablicy, czyli przykazaniach odnoszących się do drugiego człowieka. Jest to o tyle ważne, że dosyć łatwo możemy deklarować swoją pobożność, wierność, zachowywanie Prawa, ale dopiero postawa wobec drugiego człowieka ukazuje, na ile nasza wiara jest autentyczna. Ten człowiek jednak mocno zadeklarował: *Nauczycielu, wszystkiego tego przestrzegąłem od mojej młodości* (Mk 10,20). I dopiero wtedy, jak pisze Marek:

Wtedy Jezus spojrział z miłością na niego i rzekł mu: «Jednego ci brakuje. Idź, sprzedaj wszystko, co masz, i rozdaj ubogim, a będziesz miał skarb w niebie. Potem przyjdź i chodź za Mną!» (Mk 10,21).

Młodzieniec jednak odszedł zasmucony, a Ewangelista dodaje: *miał bowiem wiele posiadłości* (Mk 10,22). Okazało się, że nie jest prawdą, że dla niego najważniejsze było zbawienie i że prawdziwie uważał Pana Jezusa za „dobrego Nauczyciela”. Od zbawienia ważniejsze okazały się wielkie posiadłości, jakie miał, a właściwie lęk o ich utratę. Przychodząc do Pana Jezusa, pewnie był przekona-

ny, że jest gotów zrobić wszystko, żeby tylko zdobyć królestwo Boże. Dopiero konkretna sytuacja i potrzeba wyrzeczenia odsłoniły prawdę jego serca. Mimo tego, że miał szczere przekonanie, ta scena pokazała, w jakim stopniu był w sobie zakłamanym.

Przykład bogatego młodzieńca bardzo dobrze ilustruje problem nas samych. Czy jesteśmy wierzący, czy Pan Bóg jest rzeczywiście dla nas najważniejszy? W deklaracji pewnie powiedzieliśmy: TAK, Bóg jest najważniejszy. Dojście do królestwa niebieskiego jest najważniejsze. Tylko kiedy pytamy się: co w tym kierunku robimy na co dzień? Czy się modlimy codziennie? Czy czytamy Pismo Święte? Czy pamiętamy o Nim w zwykłych pracach i zajęciach? Czy respektujemy Jego przykazania? – okazuje się, że w istocie żyjemy swoimi mniemaniami o swojej wierze. Sami nie rozpoznajemy prawdy o sobie. Jesteśmy inni niż nam się wydaje. Co naprawdę dzieje się w naszym sercu, nie jest nam prawdziwie znane. Prawdę możemy poznać po tym, jak postępujemy i po tym, jakie to przynosi owoce.

W Katechizmie w jego IV części mówiącej o modlitwie podane jest określenie serca, które warto bardzo głęboko przemyśleć, gdyż dotyka zasadniczej prawdy naszego życia:

Serce jest mieszkaniem, w którym jestem, gdzie przebywam (według wyrażenia semickiego lub bi-

blijnego: gdzie „zstępuję”). Jest naszym ukrytym centrum, nieuchwytnym dla naszego rozumu ani dla innych; jedynie Duch Boży może je zgłębić i poznać. Jest ono miejscem decyzji w głębi naszych wewnętrznych dążeń. Jest miejscem prawdy, w którym wybieramy życie lub śmierć. Jest miejscem spotkania, albowiem nasze życie, ukształtowane na obraz Boży, ma charakter relacyjny: serce jest miejscem przymierza (KKK 2563).

Serce jest ukrytym centrum, w którym rozstrzyga się nasze życie lub śmierć, w którym dokonujemy prawdziwych wyborów. Ale jednocześnie jest misterium, którego nie przenika nasz rozum. Musimy sobie zdać sprawę z tego, że my tak naprawdę sami siebie nie znamy. Kim jesteśmy? Co się w nas dzieje? Musimy sami siebie poznawać. Nie wiemy, dlaczego jesteśmy? Nie wiemy, jakie są nasze początki? Jaki jest nasz kres? Słyszymy na ten temat dużo różnych myśli, istnieją całe koncepcje filozoficzne i religijne, ale to wszystko przychodzi do nas z zewnątrz. Sami z siebie tego nie wiemy. Możemy temu, co ktoś nam mówi, zaufać albo nie, jednak sami z siebie nie wiemy, kim jesteśmy.

W Biblii, jak pamiętamy, prawda jest inaczej rozumiana niż ją kojarzymy. Zwykle rozumiemy prawdę jako zgodność tego, co myślimy z rzeczywistością, czyli z tym, co jest na zewnątrz. Metaforą tej prawdy jest światło, bo ono pozwala nam wi-

dzieć, co jest na zewnątrz. Przez wzrok odbija się w naszym umyśle to, co jest na zewnątrz. Gdyby nie było światła, nie moglibyśmy niczego widzieć, nie byłoby zatem porównania i dlatego nie byłoby prawdy. Natomiast w Biblii prawdą jest takie słowo, taka obietnica, której można zawierzyć, bo stanie się tak, jak nam to słowo zapowiada.

Tak naprawdę nasze życie jest oparte na tym rozumieniu prawdy⁷. Tak rozumiana prawda weryfikuje się przez fakty, przez wydarzenia, przez rzetelność. Jeżeli rzetelność jest podważona, to wszystko się wali. Tak jest szczególnie w odniesieniu do naszej wiary i pobożności. Nie można ich sprowadzić do mniemania, do przyjęcia ogólnych prawd ani do dobrego myślenia o sobie, bo prawda o nich wyraża się rzeczywistymi wyborami. Prawdę o naszej wierze poznajemy po konkretnych wyborach i po owocach, jakie one przynoszą.

Duchowa walka

Jednak w naszym poznaniu sprawa się niesłychanie komplikuje, dlatego że istnieje w nas silny mechanizm obronny. Koniecznie chcemy być uważani za ludzi uczciwych, sprawiedliwych, dobrych. Jeżeli się cokolwiek zdarzy nieuczciwego,

⁷ Więcej na temat dwóch rodzajów prawdy pisaliśmy już wyżej, zob. s. 11.

to od razu uruchamia się mechanizm obronny. Tłumaczymy się, że musieliśmy, że się nie dało inaczej albo wmawiamy sobie i innym, że w ogóle czegoś takiego nie było. Jesteśmy mistrzami w usprawiedliwianiu siebie. Psychologia nazywa ten mechanizm racjonalizacją.

Trzeba jednak uwzględnić głębszą prawdę, mianowicie tajemnicę nieprawości mieszkającą w sercu każdego z nas. Bardzo wyraźnie pisze o niej św. Paweł w 7. rozdziale Listu do Rzymian. Na końcu tego rozdziału pisze on: *Nieszczęsny ja człowiek! Któż mnie wyzwoli z ciała, co wiedzie ku tej śmierci?* (Rz 7,24). Ciało, rządzone przez to, co jest na świecie, św. Paweł utożsamia tutaj z grzechem.

Ponadto istnieje w nas wielki chaos. Kiedy próbujemy skupić się na tym, co istotne w naszym życiu: kim jesteśmy, próbujemy odnaleźć swoją tożsamość przed Bogiem, okazuje się wówczas, że pojawia się w naszej głowie dużo różnych myśli, uczuć, wyobrażeń, pragnień, które kierują nas zupełnie gdzie indziej. Okazuje się, że w naszej głowie mamy nieustannie kalejdoskop myśli, nastrojów, obrazów. Kiedy jesteśmy aktywni i podejmujemy coraz to nowe sprawy i zadania, ten kalejdoskop jest wkomponowany w całość rozmaitych wrażeń i pojawiających się sytuacji i dlatego go w ogóle nie zauważamy. Kiedy jednak chcemy się wyciszyć, skupić, zaczyna się problem, bo nie

chcemy tego chaosu, a on dalej istnieje w naszej głowie. Czasem kolokwialnie mówi się o „małpie skaczącej w głowie”. Dopiero kiedy chcemy się skupić i modlić, pokazuje się, że wcale nie jesteśmy panami swoich myśli, uczuć, pragnień... Dzieje się w nas coś, czego nie chcemy. Okazuje się, że wcale nie jest proste opanowanie tego niekontrolowanego przez nas strumienia. Ks. Józef Tischner mówił o tym zjawisku, jak pamiętamy: „Ktoś mi myśli”. Takie powiedzenie bardzo trafnie oddaje to podstawowe doświadczenie. Mówi ono, że ktoś nam te myśli podsuwa. Mnisi mówili, jak wcześniej wspomniano, o *logismoi* – dosłownie o myślach. Jednak nie dotyczyło to tylko myśli, ale uczuć, wyobrażeń, pragnień itp. Czasami zamiast *logismoi* mówili wprost o demonach.

Kiedy zaczynamy widzieć ten mechanizm w sobie, zaczyna się prawdziwy problem: Kim naprawdę jesteśmy? Co się w nas dzieje? Tutaj stykamy się z problemem nas samych, z naszym „ja” prawdziwym lub „ja” fałszywym. Póki żyjemy naszą subiektywnością w ferworze życia, gdy cały czas coś się dzieje, przyjmujemy to, co się dzieje w naszych głowach za autentycznie nasze i nie mamy problemu tożsamości. Mniemamy, że jesteśmy takimi, jakimi siebie przeżywamy. Kiedy jednak przyjmujemy jakieś prawo, czyli powiemy sobie, że czegoś nam nie wolno, a coś musimy zrobić, wtedy ujawni

nia się ów przedziwny mechanizm, w którym odkrywamy jakąś przewrotność.

Opis grzechu rajskiego z Księgi Rodzaju (zob. Rdz 3) stara się oddać tę prawdę. Bóg dał ludziom tylko jedno przykazanie: *z drzewa poznania dobra i zła nie wolno ci jeść, bo gdy z niego spożyjesz, niechybnie umrzesz* (Rdz 2,17). Okazało się jednak, że akurat z tego jednego drzewa „musieli” zerwać i zjeść. „Najlepiej smakuje owoc zakazany” – jak mówi porzekadło. Jest to przejaw istniejącej w nas przewrotności. Pozwoliło nam ją odkryć pojawiające się prawo. Wprost pisze o tym św. Paweł we wspomnianym wcześniej 7. rozdziale Listu do Rzymian. Okazuje się, że robimy coś, czego nie chcemy. Uznajemy Prawo za dobre, a jednak postępujemy wbrew temu Prawu. Dlaczego? Święty Paweł mówi, że już nie my to robimy, ale mieszkający w nas grzech, który utożsamia on z ciałem. Takie postępowanie prowadzi nas ku śmierci. Ciało rządzi się tym, co dominuje na świecie, czyli wspomnianymi namiętnościami. Prawdziwe poznanie siebie rozpoczyna się od uświadomienia sobie tego mechanizmu.

W naszym życiu toczy się nieustannie wewnętrzna walka. Święty Paweł mówi, że nie jest to walka z ciałem i krwią, to znaczy nie jest to walka z drugim człowiekiem, tylko jest to walka duchowa z mocami ciemności (zob. Ef 6,12). Zasada

„poznacie po owocach” bardzo jest dla nas przydatna w tej walce. Wartość naszych wyborów i to kim jesteśmy, poznajemy po tym, co się w nas rodzi. Dlatego też ważne są dla nas nawet przeszkadzające nam podczas modlitwy rozproszenia. Katechizm mówi o nich, że z nimi nie należy walczyć, gdyż im bardziej z nimi walczymy, tym bardziej w nie popadamy. Powinno się je ignorować i wracać z całą energią do modlitwy, do bycia przed Bogiem i dla Boga. Rozproszenia należy zostawić bez wpadania w złość, wiedząc, że ta fatalna siła w nas istnieje, jednak mimo niej mamy nieustannie wybierać Boga. Należy je traktować tak, jak np. niespodziewany hałas, jaki do nas dociera z zewnątrz, na który nie możemy nic poradzić – trzeba go zignorować, a nieustannie wracać do modlitwy.

Jednocześnie rozproszenia pokazują nam, co naprawdę jest ważne w naszym sercu. Gdybyśmy nie mieli w nich jakiegoś upodobania, nie byłibyśmy podatni na owe rozproszenia, w ogóle te myśli, wspomnienia, uczucia czy pragnienia by nas nie poruszały. Rozproszenia są znakami tego, co nurtuje nasze serce i po rozproszeniach możemy poznać, co jest naszym prawdziwym problemem i nad czym winniśmy pracować.

Po owocach poznajemy to, czy idziemy właściwą drogą, czy nie, czy nasz wybór jest właściwy, czy nie. Ponieważ istnieje w nas mocny mecha-

nizm obronny, mechanizm oszukiwania siebie, chcemy przeforsować swoje pragnienia i uzyskać potwierdzenie, że są one dobre. „Nikt nie jest dobrym sędzią we własnej sprawie”. Trudno nam samym się rozeznąć. Spontanicznie możemy się zachować bardzo różnie – czasami dobrze, czasami źle, czasami byle jak, bez polotu, a czasem wręcz genialnie. Spontaniczność odsłania, co się dzieje w naszym sercu. Kiedy jednak dochodzimy do trzeźwej refleksji, bardzo ważne jest to, co z tymi spontanicznymi reakcjami robimy: czy będziemy siebie tłumaczyć, chronić przed ewentualnym oskarżeniem, bronić się przed krytyką innych, czy będziemy badali siebie i odkrywali prawdę o sobie. Tylko w tym ostatnim przypadku będziemy mogli właściwie działać, to znaczy zaczniemy leczyć to, co jest w nas słabe i złe.

Jeżeli zrobiliśmy coś złego, to trzeba to uznać, np. przeprosić za złe słowo. Święty Benedykt bardzo jednoznacznie pisze, że jeżeli zrobiliśmy coś złego, to zrobiliśmy to sami z siebie, jeżeli natomiast robimy coś dobrego, to musimy wiedzieć, że to pochodzi od Boga i trzeba Bogu podziękować za to, co zrobiliśmy (zob. RegBen 4,42n). Tak zrobiła Maryja po zwiastowaniu i rozmowie z Elżbietą wyśpiewała: „Wielbi dusza moja Pana”. W tej pieśni dziękowała i od razu oddała Bogu chwałę za to, czego w Niej dokonał. On bowiem dał tę łaskę.

Nie była to Jej zasługa, ale dar od Boga. Jej reakcja była właściwa. Usłyszała najwspanialsze orędzie, jakie człowiek mógł usłyszeć i od razu dziękując, uznała prawdę, że to Bóg jest źródłem dobra i On go dokonał.

W życiu duchowym właściwie rozstrzygająca jest reakcja na to, co się stało lub co zrobiliśmy i to niezależnie od tego, czy było to dobre, czy złe. Kiedy po zrobieniu czegoś dobrego uznajemy to za swoją zasługę, popadamy w pychę i tym samym tracimy to dobro naszego czynu. Z kolei gdy nawet zgrzeszymy, ale dzięki temu uświadomimy sobie swoją słabość i zwrócimy się do Boga z prośbą o pomoc, rozpoczyna się proces naszego leczenia. Tak było w przypadku owego ewangelicznego celnika w świątyni (zob. Łk 18,10–14).

Jednak u podstaw naszej reakcji jest poznanie prawdy czynu, jaki popełniliśmy, poznanie prawdziwej wartości duchowej tego, co się stało. Jedynym w miarę pewnym kryterium poznania pozostają owoce. Po nich poznajemy, czy idziemy rzeczywiście prawdziwą drogą, czy nie, czy wybieramy ciało, czy ducha.

Mnisi całkowicie nastawieni na jeden cel szukania Boga odkryli, jaka walka toczy się w naszym wnętrzu oraz jaka jest logika tej walki. Mnisi doskonale wiedzieli, że nie jesteśmy pozostawieni sami sobie, ale ktoś nam podsuwa różne myśli,

uczucia, różne wspomnienia i pragnienia. Sami tego nie chcemy i dlatego rozeznanie i wybór są decydujące. Wybór albo daje owoce Ducha: miłość, pokój, radość, łagodność..., albo niepokój, drażliwość i w związku z tym łatwość popadania w konflikty. Ten wybór jednocześnie jest wyborem siebie pomiędzy prawdziwym lub fałszywym „ja”. Fałszywe „ja”, nasze ego, chce rządzić, dominować, panować. Prawdziwe „ja”, które Bóg stwarza w nas, jest jak małe dziecko na łonie matki:

jak dziecko na łonie swej matki,
jak ciche dziecko jest we mnie moja dusza
(Ps 131,2).

Mamy być jak dziecko uczące się wszystkiego od Boga. Pan Jezus dawał za przykład całkiem małe dzieci, które przynoszono, a nie przyprowadzano do Niego: *Kto nie przyjmie królestwa Bożego jak dziecko, ten nie wejdzie do niego* (Łk 18,17). Prawdziwe „ja” w nas jest całkowicie otwarte na Boga, w całkowitym zawierzeniu. „Ja” fałszywe, które chce panować, może się wyrażać w różny sposób: uporem trzymania się swoich poglądów i to zarówno np. w filozofii ateistycznej, jak i fanatyzmie religijnym. Tak czy inaczej w nim zawsze istnieje pycha, wyniosłość. Fałszywe „ja” zawsze będzie w konflikcie z innymi. Jest ono w nas tak mocno osadzone, że mówi się czasem, iż „umiera ono dopiero 15 minut po naszej śmierci”.

Mnisi mówili, że pokus należy spodziewać się do samej śmierci. Nie ma stanu, w którym człowiek jest już ponad możliwością pokusy. Zawsze do końca stoimy przed tym wyborem. Z drugiej jednak strony mnisi mówią, że gdyby nie było pokus, to nie byłoby świętych, gdyż jeżeli nie ma wyboru, nie wykuwa się w nas prawdziwe zdecydowanie i wybór Boga. Dopiero pokusy dają nam możliwość wypracowania w sobie determinacji pójścia za Bogiem i stawania się Jego dzieckiem, wyboru tego „ja”, które Bóg w nas stworzył. Bóg oczekuje od nas wyboru w wolności.

Jak poznać po owocach?

Jak rozpoznać, co jest dobre, a co złe?

Zazwyczaj jako kryterium dobrego wyboru wskazuje się właściwe intencje. Kiedy mówimy o szczerzej i czystej intencji, to w istocie chodzi nam o właściwą dyspozycję w nas przy podejmowaniu jakiegoś działania. Jednak tym, co robimy z dobrymi intencjami, można sprawić komuś przykrość. Przykładem są nadopiekuńcze mamusie, które są tak „dobre”, że potrafią zrobić ze swoich dzieci życiowe kaleki. Tak naprawdę intencja takiej matki nie jest dobra, choć ona sama uważa, że tak jest. W istocie chodzi jej bowiem o zaspokojenie swej macierzyńskiej potrzeby. Jest to jeden z przy-

kładów, gdy przeżywanie intencji jako dobrej nie odpowiada rzeczywistości.

Tutaj dotykamy zagadnienia wielości intencji w jednym działaniu. Właściwie nigdy w naszym działaniu nie ma tylko jednej intencji. Istnieje ich zawsze wiele na różnych poziomach i w zakresie różnych wymiarów i skutków naszego działania. Jeżeli np. pomagamy sąsiadom, gdy nas o to proszą, to robimy to z życzliwości dla nich, ale też przecież liczymy na to, że i oni nam pomogą, gdy będziemy w potrzebie. Więc jest to także nasz interes. A ponadto mogą się pojawić także inne intencje, np. przy okazji uda mi się załatwić coś swojego lub mieć satysfakcję, że robimy coś dobrego itd. Główna intencja jest najważniejsza, ale istnieje także szereg innych o różnej wartości moralnej. Ale która z nich jest naprawdę wiodąca, nie możemy być tego naprawdę pewni. Ponadto potrafimy się znakomicie oszukiwać i wmawiać sobie dobre intencje. Zresztą łatwo wysuwamy na czoło intencje szlachetne, ukrywając te mniej szlachetne.

Kryterium rozpoznania tego, co robimy, a także czy nasze intencje są dobre czy złe, są znowu owoce, które mówią, czy to, co zrobiliśmy, jest naprawdę dobre. Jeżeli człowiek ma być sobą, powinien być tym, kim został stworzony, a został stworzony jako dobry, dla spełniania dobrych czynów:

Jesteśmy bowiem Jego dziełem, stworzeni w Chrystusie Jezusie dla dobrych czynów, które Bóg z góry przygotował, abyśmy je pełnili (Ef 2,10). Czy nasza intencja była naprawdę dobra, poznamy po tym, że owoce naszego działania są autentycznie dobre. Wtedy mamy potwierdzenie, że ta intencja była dobra, że pochodziła z prawdziwego źródła naszej tożsamości, którym jest Bóg.

Można zapytać: Jeżeli poznamy po owocach, które przecież są skutkiem, a nie przyczyną naszego postępowania, to w jaki sposób wiemy przed podjęciem czynu, czy zrobimy dobrze?

Musimy pamiętać, że żyjemy nie od dziś, mieliśmy już w życiu mnóstwo doświadczeń i dokonywaliśmy wielu wyborów. Jeżeli żyjemy przytomnie, obserwujemy ich owoce i bardzo szybko uczymy się już z góry rozpoznawać, co przynosi dobre, a co złe owoce. Nie jest to wiedza pewna, jak w naukach ścisłych. Jest to wiedza egzystencjalna nabyta przez doświadczenie. Jest ona mądrością, czyli sztuką poznania i wyboru w życiu prawdy i dobra, czyli tego, co buduje życie.

Wymienione przez św. Pawła owoce harmonizują z innymi tekstami mówiącymi o prawdziwym życiu. Przykładem jest „Hymn o miłości”, w którym św. Paweł wymienia cechy, po których można rozpoznać prawdziwą miłość. Nikt z nas nie wie, czym ona w istocie jest, gdyż ona jest z Boga, a na-

wet Bóg jest miłością. Jednak można ją poznać po jej cechach:

Miłość cierpliwa jest,
łaskawa jest.

Miłość nie zazdrości,
nie szuka poklasku,
nie unosi się pychą;

⁵ nie jest bezwstydną,
nie szuka swego,
nie unosi się gniewem,
nie pamięta złego;

⁶ nie cieszy się z niesprawiedliwości,
lecz współweseli się z prawdą.

⁷ Wszystko znosi,
wszystkiemu wierzy,
we wszystkim pokłada nadzieję,
wszystko przetrzyma.

⁸ Miłość nigdy nie ustaje,
[nie jest] jak prorocstwa, które się skończą,
choć zniknie dar języków
i choć wiedzy [już] nie stanie (1 Kor 13,4–8).

Z jednej strony św. Paweł potwierdza owoce ducha: cierpliwość, łagodność, radość, łaskawość, przebaczenie, pokorę, z drugiej strony odrzuca to, co się rodzi z ciała: zazdrość, szukanie swego, pychę, gniew, pamiętliwość, niesprawiedliwość, bezwstyd. Życie prawdziwe, które w istocie jest miłością, poznajemy po owocach. Hymn o miłości na końcu mówi, że po śmierci poznamy tak, jak sami jesteśmy poznani. Teraz jednak, póki żyje-

my, trwają wiara, nadzieja, miłość – te trzy: z nich zaś największa jest miłość (1 Kor 13,13). Dlaczego ona jest największa? Wiara się kończy, bo zamienia się w prawdziwe poznanie. Nadzieja też się kończy, gdy się zrealizuje i staje się rzeczywistością. Natomiast miłość obowiązuje i w życiu na ziemi, i w królestwie Bożym. W niej odnajdujemy prawdziwe życie, ona jest prawdziwą rzeczywistością. Stąd istnieje harmonia między owocami Ducha, czyli właściwym życiem oraz miłością. Przy czym prawdziwym życiem jest to, co się ostaje wobec śmierci.

Decyzje, jakie podejmujemy, wynikają z kontekstu, w jakim żyjemy. Zazwyczaj potrzeba podjęcia decyzji pojawia się wówczas, gdy do takiej decyzji dorastamy. Żeby dotknąć jakiegoś problemu, trzeba do niego dorosnąć, czyli osiągnąć pewien stopień dojrzałości. Jeżeli małemu dziecku daje się do rozstrzygnięcia problem ze świata dorosłych, niszczy się je. Tak bywa np. w przypadku dzieci alkoholików, które zbyt wcześnie muszą przyjmować na siebie odpowiedzialność, jaka należy do dorosłych. W rozwoju tych dzieci następuje zaburzenie. Do podjęcia problemu trzeba dojrzeć, a to oznacza: doświadczyć czegoś podobnego lub analogicznego, uświadomić sobie, jakie to przynosi skutki, czym grozi itd. W efekcie wyrabia się w nas intuicja. Dzieje się tak jednak tylko wówczas, gdy

żyjemy przytomnie. Jeżeli żyjemy według schematów, właściwie niczego się nie uczymy. Tak bywa z ideologami tzn. takimi, którzy wiedzą wszystko, bo im ktoś powiedział lub sami to wyczytali, żyją tylko tym, co im „włożyli” do głowy. Tacy ludzie nawet nie będą mieli problemów, bo będą widzieli tylko to, co mieści się w schemacie. A jeżeli się w schemacie nie mieści, to i tak to do schematu sprowadzą.

Praca nad czystością serca

Dosyć łatwo można zaobserwować, że większość ludzi myśli w kategoriach swoich pragnień. Nazywamy to myśleniem życzeniowym. I np. nadopiekuńcza matka ma zafałszowane myślenie przez swoje życzenia. Człowiek zamiast budować, niszczy zarówno siebie, jak i innych. To jest przypadek wielu rozpadających się małżeństw. Ludzie zawierają małżeństwo z zamiarem budowania czegoś dobrego. Jeżeli jednak małżeństwo się rozsypuje, to albo oszukiwali siebie, albo ich dobra intencja nie była do końca oczyszczona. Było w niej za dużo swoich własnych pragnień i chęci. Ojciec Karol Meissner OSB, specjalista od spraw małżeńskich, zawsze mówi: „Pamiętajcie, że największym wrogiem waszego małżeństwa są wasze pragnienia sterowane wyobraźnią”. One mogą być w przeżywaniu najszczerze, najwspanialsze, ale

ostatecznie rozbijają wzajemną więź i niszczą życie, czyli są złe.

Myślenie życzeniowe potrafi nawet zafałszować owoce, co prowadzi do utraty punktu odniesienia w poszukiwaniu prawdy. Jest to fatalne i bez przemiany serca nie do naprawienia.

Najważniejsze jest oczyszczenie serca. Wpierw jednak trzeba rozpoznać, co jest prawdziwie dobre. Tego nie da się zrobić tylko intelektualnie, czy według kategorii praw, lecz poznaje się w życiu po owocach. Z czasem wyrabia się w nas intuicja i z góry wiemy, co prowadzi do życia, a co je niszczy. Naszym zasadniczym duchowym zadaniem jest czujność polegająca na straży serca – jak to nazywali mnisi. Oznacza to pilnowanie tego, co do nas przychodzi. Wpierw trzeba rozpoznać wartość przychodzącej myśli, uczucia, czy wyobrażenia, a potem, jeżeli pojawia się coś złego, umieć to odrzucić i się od niego odciąć. Jako praktykę monastyczną wyraża to np. piąty stopień pokory w *Regule* św. Benedykta:

Piąty stopień pokory: jeśli w pokornym wyznaniu wyjawiamy swojemu opatowi wszystkie złe myśli przychodzące do serca, lub złe czyny w ukryciu popełnione. ⁴⁵Zachęca nas do tego Pismo mówiąc: *Powierz Panu swoją drogę i zaufaj Mu* (Ps 37[36],5) ⁴⁶oraz *Wyznawajcie Panu, bo dobry, bo na wieki Jego miłosierdzie* (Ps 106[105],1 Włg). ⁴⁷A Prorok dodaje jeszcze: *Grzech mój Tobie wyznałem i nie ukry-*

łem mej winy. ⁴⁸ *Rzekłem: Wyznamę nieprawość moją Panu, a Tyś darował winę mego grzechu (Ps 32[31],5) (RegBen 7,44–48).*

Przed wszystkim trzeba wiedzieć, że siła złych myśli polega na tym pozorze. Gdybyśmy poznali całą prawdę o nich, nie byłyby dla nas atrakcyjne. One działają zazwyczaj w podświadomości albo, jeżeli w świadomości, to w mroku albo w półmroku. Wydobyte na światło tzn. zracjonalizowane, doprowadzone do refleksji i wyznane tracą swoją moc. Trzeba najpierw rozpoznać, co się w nas dzieje, co do nas „przychodzi”, a potem wybierać to, co dobre i to przyjmować, a to co złe odrzucać. Zdecydowane odrzucanie polega przede wszystkim na niedopuszczaniu tego do serca. Skutecznym narzędziem takiego odrzucenia jest wyznawanie tych myśli komuś, np. opatowi czy ojcu duchownemu. Święty Paweł w liście do Rzymian mówi zdecydowanie: *Nie daj się zwyciężyć złu, ale zło dobrem zwyciężaj (Rz 12,21)*. Pierwsza część tego zdania jest warunkiem spełnienia drugiej. Jeżeli np. człowiek da sobie zaszczerpieć nienawiść, to może sobie tylko wmawiać, że działa szlachetnie. Nie daj dopuścić do swego serca czegoś, co cię niszczy. Trzeba to wyrzucić najlepiej przez pokorne wyznanie.

Można to usuwać również inaczej, np. jeżeli człowiek jako oręż przeciw złej myśli zaczyna my-

śleć o czymś dobrym. Jest to zasada „klin klinem”. Tak można postępować w przypadku rozproszeń. Jeżeli przychodzą nam do głowy głupie myśli, to zacznijmy się zajmować czymś, co jest naprawdę dobre. Jeżeli są namiętne pokusy, to dobrze jest skorzystać ze swoich dobrych pasji, np. muzyki, kiedy zaczniemy się tym zajmować, to nas to wciąga i wypycha złe myśli.

Częsta spowiedź, jeżeli nie jest jedynie praktyką dewocyjną dającą nam poczucie porządkości, może posiadać głęboki sens, gdyż wpisuje się w wewnętrzną walkę, która się rzeczywiście w nas toczy, a z której zdecydowana większość ludzi w ogóle nie zdaje sobie sprawy. Wielu ludzi ma fałszywe wyobrażenie o sobie, myśli, że są panami siebie i dobrze rozpoznają swoje intencje. Mnisi dobrze wiedzieli, że nie można sobie samemu wierzyć. Uważali, że człowiek, który wierzy sobie, jest naprawdę głupi. Spowiedź systematyczna człowieka, który już nie popełnia grzechów ciężkich, powinna raczej przypominać rozmowę duchową, na której wyznaje on przychodzące myśli – które same w sobie nie są grzechami – omawia je z duchowym ojcem, by pracować nad sercem. Odnośnie do rozgrzeszenia to przecież każdy z nas grzeszy niedostatkiem miłości w odpowiedzi na miłość Boga do nas.

Jeżeli żyjemy wystarczająco długo, o ile żyjemy przytomnie, to w oparciu o doświadczenie ży-

ciowe, potrafimy z góry przewidzieć, co wyniknie z podjętego postępowania. Ważną rolę, jak już było powiedziane, odgrywa tu intuicja. Dlatego w starożytności uważano, że w trudnych sytuacjach trzeba spytać starca, bo to starzec, a nie młody człowiek, miał doświadczenie i dlatego mógł wiedzieć. Dzisiaj niestety na decydentów wybiera się młodych, inteligentnych, ale w gruncie rzeczy niedoświadczonych życiowo ludzi, którzy są niewątpliwie sprawni, jednak niekoniecznie mądrzy. Natomiast w życiu liczy się mądrość, a nie sama inteligencja i spryt organizacyjny. Mamy całe życie, żeby się uczyć mądrości, ale zdarza się, że mając nawet dużo lat, można być głupim i to do końca życia. Tak się dzieje, gdy ktoś nie żyje przytomnie, ale hoduje w sobie „słuszne” pretensje do innych, czy to swoich bliskich, żony, rodziców, sąsiadów, czy np. do rządu. Tacy ludzie niczego się nie uczą od życia, nie poznają po owocach, ale trzymają się uparcie swoich wyobrażeń i przekonań i dlatego pozostają głupi, dopóki się nie obudzą i nie spojrzą krytycznie na siebie. Dopóki nie odkryją w sobie prawdy o tajemniczy nieprawości mieszkającej w nich, pozostaną w fałszywym mniemaniu o sobie. Można natomiast być mądrym już w młodości. Przykładem jest biblijny Daniel, który rozsądził starców pałających żądzą do Zuzanny (zob. Dn 13). Drogą do osiągnięcia mądrości jest

refleksja na wzór tej, jaką przeprowadzała Maryja: słuchała Ona i rozważała w swoim sercu wszystkie wydarzenia, jakie się działy (zob. Łk 2,19). „Rozważanie w sercu” odróżnia się od rozważania w głowie, która jest ośrodkiem racjonalnej myśli w nas. Serce jest naszym centrum i obejmuje sobą głębię egzystencjalną. Dopiero z tej perspektywy można szerzej patrzeć i rozpoznać prawdę. I dlatego najczęściej osiąga się to w starszym wieku.

Największą mądrością jest uczenie się na cudzych błędach i w ogóle cudzych doświadczeniach. Ludzie chcą się dzielić swoim doświadczeniem, wystarczy ich posłuchać i umieć się wczuć w ich doświadczenie. Ale to wymaga pokory. Niemniej „złoto leży na ulicy”, trzeba je tylko podnieść. To złoto także mamy w Piśmie Świętym, a także w innych tekstach, najczęściej klasycznych, które przedstawiają doświadczenie ludzi. Warto po nie sięgnąć i wewnątrznie przeżyć, by przez to przyjąć do siebie doświadczenie innych.

SZKOŁA SŁUŻBY PAŃSKIEJ DLA WSZYSTKICH

Wstęp

Regułę św. Benedykta, którą napisał on dla mnichów, otwiera *Prolog*, rodzaj wprowadzenia, a jednocześnie adresu, w którym określa, do kogo pisze tę regułę. Ciekawe jest to, że w *Prologu* właściwie ani razu nie pada słowo „mnich”, czy jakiegokolwiek określenie jednoznacznie z tym powołaniem związane. Na sam koniec *Prologu* pojawia się jedynie jako wniosek postulat: „Mamy zatem założyć szkołę służby Pańskiej” (RegBen Prol 45). Ten postulat można jednak bardzo łatwo odnieść nie tylko do życia klasztornego, ale także do innych rodzajów życia, jak np. życia w rodzinie.

Zasadniczo koncepcja życia monastycznego wyrasta z pragnienia konsekwentnego bycia uczniem Chrystusa. Tak było od początku. Joseph kard. Ratzinger pisał:

U Antoniego, będącego dla nas historycznie uchwytną postacią z początków monastycyzmu, decydującym motywem była intencja prowadzenia

vita evangelica – intencją życia Ewangelią w jej integralności, z całym radykalizmem⁸.

Nieco dalej o św. Bazylim pisze:

Nie chciał on absolutnie stwarzać swojej własnej instytucji obok normalnego Kościoła. Pierwsza autentyczna reguła, jaką napisał, miała być – jak to sformułował von Balthasar – regułą nie zakonu, ale Kościoła, <Podręcznik konsekwentnych chrześcijan>⁹.

W Ewangelii niewątpliwie Pan Jezus wyraźnie sprawę królestwa Bożego stawia jako zasadniczą w swoim orędziu. Wszystkich wzywa do szukania już tutaj tego królestwa: *Starajcie się naprzód o królestwo /Boga/ i o Jego Sprawiedliwość, a to wszystko będzie wam dodane* (Mt 6,33). Wydaje się, że na podstawie tych słów uznano życie zakonne, które uważa się za wybór królestwa Bożego z jednoczesnym odrzuceniem świata z jego ziemskimi wartościami, za wyższe od życia świeckiego, które jest mocno zaangażowane w ten świat. Ale to oczywiście jest uproszczenie. Śluby zakonne formalnie są deklaracją postawienia na królestwo Boże już tu na ziemi z odrzuceniem świata. Ale czy rzeczywiście

⁸ „Ruchy kościelne i ich miejsce w teologii”, [w:] JOSEPH KARDYNAŁ RATZINGER, *Kościół. Pielgrzymująca wspólnota wiary*, Kraków 2005, s. 173.

⁹ Tamże s. 174.

tak jest? Niestety w życiu wielu osób zakonnych dzisiaj tego nie widać.

Niewątpliwie wybór Chrystusa i całkowite postawienie na Niego jest tym, o co chodzi Panu Jezusowi i to w odniesieniu do wszystkich uczniów. W Modlitwie arcykapłańskiej Jezus mówi:

Ja im przekazałem Twoje słowo, a świat ich znienawidził za to, że nie są ze świata, jak i Ja nie jestem ze świata. ¹⁵ Nie proszę, abyś ich zabrał ze świata, ale byś ich ustrzegł od złego. ¹⁶ Oni nie są ze świata, jak i Ja nie jestem ze świata. ¹⁷ Uświęć ich w prawdzie. Słowo Twoje jest prawdą. ¹⁸ Jak Ty Mnie posłałeś na świat, tak i Ja ich na świat posłałem. ¹⁹ A za nich Ja poświęcam w ofierze samego siebie, aby i oni byli uświęceni w prawdzie. ²⁰ Nie tylko za nimi proszę, ale i za tymi, którzy dzięki ich słowu będą wierzyć we Mnie; ²¹ aby wszyscy stanowili jedno, jak Ty, Ojczy, we Mnie, a Ja w Tobie, aby i oni stanowili w Nas jedno, by świat uwierzył, że Ty Mnie posłałeś (J 17,14–21).

Podział pomiędzy przynależnością do Boga i dążeniem do Jego królestwa, a światem dokonuje się w sercu każdego ucznia Chrystusa, a nie jedynie w wybranych uczniach. Przynależność do Jezusa i w tym sensie dążenie do królestwa prowadzi do życia w pełni, a zatroskanie o sprawy doczesne, choćby należały one do najlepszych z możliwych tu na ziemi, prowadzi do śmierci.

Potem przywołał do siebie tłum razem ze swoimi uczniami i rzekł im: «Jeśli kto chce pójść za Mną, niech się zaprze samego siebie, niech weźmie krzyż swój i niech Mnie naśladuje!»³⁵ Bo kto chce zachować swoje życie, straci je; a kto straci swe życie z powodu Mnie i Ewangelii, zachowa je.³⁶ Cóż bowiem za korzyść stanowi dla człowieka zyskać świat cały, a swoją duszę utracić?³⁷ Bo cóż może dać człowiek w zamian za swoją duszę? (Mk 8,34–37)

Tak więc nikt z was, jeśli nie wyrzeka się wszystkiego, co posiada, nie może być moim uczniem (Łk 14,33).

Każdy, kto dla mego imienia opuści dom, braci, siostry, ojca, matkę, dzieci lub pole, stokroć tyle otrzyma i życie wieczne posiędzie na własność (Mt 19,29).

Takich i podobnych cytatów można przytoczyć z Nowego Testamentu bardzo dużo. Wybór wskazany w tych tekstach dokonuje się bardzo głęboko w sercu człowieka i zawsze jako odpowiedź na Boże wezwanie. Oczywiście o wiele łatwiej realizować to w życiu zakonnym, bez obowiązków związanych z innymi osobami, z troską o utrzymanie domu itd. Tutaj ma zastosowanie rada Pana Jezusa:

Rzekli Mu uczniowie: Jeśli tak ma się sprawa człowieka z żoną, to nie warto się żenić. Lecz On im odpowiedział: Nie wszyscy to pojmują, lecz tyłko ci, którym to jest dane. Bo są niezdatni do małżeń-

stwa, którzy z łona matki takimi się urodzili; i są niezdatni do małżeństwa, których ludzie takimi uczynili; a są i tacy bezzenni, którzy dla królestwa niebieskiego sami zostali bezzenni. Kto może pojąć, niech pojmuje! (Mt 19,10–12).

Jednak czy taki wybór rzeczywiście się dokonał i stał się prawdą w życiu osoby zakonnej, trudno powiedzieć. Istnieje przecież szereg innych możliwości i motywów pójścia do klasztoru: ucieczka od trudności w życiu samotnym lub małżeńskim; realizacja własnych ambicji bycia doskonałym; szukanie schronienia dla siebie w całkowitym poddaniu się komuś, kto bierze za mnie odpowiedzialność; czyjaś namowa; lęk o własne zbawienie przy jednoczesnym przekonaniu, że w klasztorze się można łatwiej zbawić, itp. Można mieć obawę, że dzisiaj w życiu zakonnym istnieją wyraźne problemy związane z autentyczną motywacją. Ale ponadto pojawiają się fałszywe struktury wynikające z powiązań między ludźmi działające w zakonach, jak również w całym Kościele, które raczej utrudniają niż pomagają w dojściu do dojrzałości i odpowiedzialności.

Okazuje się, że uniwersalizm zawarty w *Prologu* nie jest przypadkowy, ale konsekwentnie wyrasta z wcześniejszej tradycji. Jeżeli uwzględnimy przy tym, że w Kościele wschodnim duchowość chrześcijańska to ni mniej ni więcej, tylko duchowość

wypracowana przez mnichów, to znaczenie monastycyzmu dla życia zwykłych chrześcijan jest bardzo istotne. Nie przypadkiem też zalecenia zawarte w dalszym ciągu *Reguły* św. Benedykta można stosunkowo łatwo odnieść do życia w rodzinie, a także do rozmaitych wspólnot. Wiele ze wskazań św. Benedykta można zastosować nawet np. do funkcjonowania firmy, czyli do grup dalekich od ambicji tworzenia wspólnot religijnych¹⁰. Święty Benedykt okazuje się dobrym przewodnikiem w życiu nie tylko dla mnichów, ale także dla wielu ludzi żyjących w różnych warunkach i wspólnotach.

Natomiast jeżeli mówimy o małżeństwie, to trzeba wiedzieć, że jest ono **sakramentem**, czyli znakiem, który realizuje to, co oznacza, a oznacza więź Chrystusa i Kościoła, jak to pisze św. Paweł (Ef 5,32). Zatem chrześcijańscy małżonkowie są wezwani także do szukania przede wszystkim Chrystusa i jego miłości. Ich wzajemna więź jest jej znakiem i szkołą. Które jednak małżeństwo to tak rozumie?! Ponadto niewątpliwie, szczególnie na początku, gdy napiętności i różne inne napięcia pomiędzy małżonkami związane ze zwykłym życiem jeszcze grają dużą rolę, trudno o auten-

¹⁰ Współcześnie powstaje sporo opracowań z dziedziny zarządzania stosujących zasady zawarte w *Regule* św. Benedykta.

tyczne odkrycie tej prawdy, o misterium miłości Chrystusa, która nas obejmuje. Wydaje się, że możliwe jest jednak takie wspólne przeżywanie tajemnicy małżeństwa, w którym ta tajemnica Chrystusa i Kościoła jest w sposób żywy obecna. W tej perspektywie droga życia małżeńskiego i droga życia zakonnego są różnymi, co prawda wykluczającymi się wzajemnie, drogami do królestwa Bożego, ale równoprawnymi i pozwalającymi postawić wybór Chrystusa i Jego królestwa w centrum. Niemniej samotnemu, bezzennemu we wspólnocie podobnych osób jest łatwiej. Ale z tego nie wynika, że jego wybór jest „wyższy”. „Wyższy” jest jedynie o tyle, o ile jest postawieniem królestwa Bożego w centrum w przeciwieństwie do zagubionego w świecie zwykłego człowieka. Jednak człowiek w świecie też może dokonać takiego wyboru i wówczas nie ma żadnej wyższości, a ponadto dla niego taki wybór może być o wiele trudniejszy w realizacji i stąd bardziej godny uznania(!). Mówi o tym między innymi apoftegmat o Abba Antonim:

Abba Antoniemu na pustyni zostało objawione co następuje: „Jest w mieście ktoś podobny do ciebie: lekarz z zawodu, który rozdaje potrzebującym to, co mu zbywa, i przez cały dzień śpiewa «Święty-Święty-Święty» razem z aniołami (1 Apo Antoni 24(24)).

Wynoszenie się osób konsekrowanych, przeświadczonych o wyższości swojego życia, jest

wyraźnym dowodem, że prawdziwie nie postawili na królestwo Boże. Pan Jezus mówi o tym, że *Kto się wywyższa, będzie poniżony, a kto się poniża, będzie wywyższony* (Mt 23,12). Ponadto mówi, że *kto by chciał być pierwszym między wami, niech będzie niewolnikiem waszym* (Mt 20,27). Te teksty są jednoznaczne i nie wymagają komentarza. Ponadto Matka Boża, która jest wzorem życia zakonnego, żyła w świecie! Istotne jest to, czy na swojej drodze, jaką idziemy, prawdziwie szukamy Boga.

Pierwotny zamysł twórców monastycyzmu pozostaje stale aktualny, a dzisiaj w dobie kryzysu życia konsekrowanego wydaje się warty podjęcia. Co taki postulat oznaczałby dla świeckiego człowieka? Jakie postawy i zasady życia dałoby się wyprowadzić z tradycji monastycznej? Warto w związku z tym przyrzeć się zasadniczej myśli, która leży u podstaw napisanej przez niego *Reguły*.

Czy prawdziwie szuka Boga

W tym kontekście pojawia się postulat „monastycyzmu uwewnętrznionego”, który polega na podjęciu wewnętrznie tego samego dążenia, jakie legło u podstaw życia monastycznego.

Święty Benedykt w *Regule* stawia kandydatom do życia monastycznego właściwie jeden warunek: „**czy prawdziwie szuka Boga**” (RegBen 58,7). Otóż to dążenie powinno stać się fundamentem

życia. Święty Benedykt stosuje tę ogólną zasadę do życia w klasztorze. Czy jednak nie da się tego kryterium zastosować w życiu ludzi świeckich? Wydaje się, że jest to nie tylko możliwe, ale także bardzo owocne. Przede wszystkim pragnienie „prawdziwego szukania Boga” powinno być fundamentem życia każdego chrześcijanina, nie tylko mnichów. Musi ono, oczywiście, przyjąć bardzo konkretny kształt.

Dzisiaj modna jest postawa „szukającego”. Niestety często takie określenie oznacza człowieka, który ciągle problematyzuje sprawę relacji do Boga i w tym znajduje usprawiedliwienie dla swojej niewiary, braku zdecydowanego pójścia za Chrystusem. Szukanie Boga u św. Benedykta oznacza zdecydowanie się na pójście za Chrystusem i otrzymuje bardzo konkretny kształt. Zaraz w dalszej części zdania wskazuje on na konkretne postawy, w których to szukanie Boga się przejawia: „czy jest **gorliwy** w służbie Bożej, w **posłuszeństwie**, w **znoszeniu upokorzeń**” (RegBen 58,7). Te wskazania układają się w pewien porządek coraz to głębszych wyzwań i wymagań.

Pierwszym wyznacznikiem jest **służba Boża**, co oznacza **liturgię**, a w *Regule* w szczególności liturgię godzin, gdyż Eucharystię mnisi sprawowali raz w tygodniu, tylko w niedzielę. Autentyczne szukanie Boga może się odbywać jedynie w przestrzeni, któ-

ra nam dał sam Bóg. Liturgia jest właśnie czasem, w którym daje się nam On w sposób szczególny:

Wierzmy, że Bóg jest wszędzie obecny i że *oczy Pana patrzą na dobrych i na złych na każdym miejscu* (Prz 15,3). Przede wszystkim jednak powinniśmy być tego niewzruszenie pewni wówczas, gdy uczestniczymy w Służbie Bożej (RegBen 19,1n).

Wynika to ze słów samego Pana Jezusa:

Jeśli dwóch z was na ziemi zgodnie o coś prosić będzie, to wszystko otrzymają od mojego Ojca, który jest w niebie. ²⁰ Bo gdzie są dwaj albo trzej zebrani w imię moje, tam jestem pośród nich (Mt 18,19–20).

Zauważmy, że św. Benedykt nie mówi, że Bóg jest szczególnie obecny w modlitwie indywidualnej, w medytacji, w uczynkach miłosiernych, w ascezie..., ale w liturgii. Dlaczego? Wydaje się, że dlatego, iż liturgia zawiera w sobie tajemnicę Kościoła, Ciała Chrystusa. Ten wymiar jest niestety dla wielu ludzi dzisiaj niezrozumiały. Niemniej Drugi Sobór Watykański wyraźnie w tym samym duchu mówi:

Liturgia jednak jest szczytem, do którego zmierza działalność Kościoła, i jednocześnie jest źródłem, z którego wypływa cała jego moc (KL 10).

Liturgia bowiem jest pierwszym i niezastąpionym źródłem, z którego wierni czerpią ducha prawdziwie chrześcijańskiego (KL 14).

Nasza religijność w pewnym momencie historii została w wymiarze indywidualnej świadomości przeciętnego wierzącego sprowadzona do wymiaru moralnego, a przez to do indywidualnego zbawiania się przez własne czyny, czyli właściwie do koncepcji, jaką mieli faryzeusze: miała ich zbawić ich własna doskonałość. W przypadku chrześcijan różnica polegała na tym, że dokonywało się to przez Chrystusa, który otworzył nam drzwi do nieba i przekazał nam „doskonalszą moralność”. Jednak w praktyce u podstaw był ten sam lęk o indywidualne zbawienie przez własną porządność.

Liturgia w tym kontekście była rozumiana jako formalnie sprawowany kult Boga, w którym każdy chrześcijanin miał z obowiązku moralnego brać udział. Jednak z tej racji, że zwykli chrześcijanie nie znali łaciny – a liturgia była wyłącznie po łacinie – mogli oni być jedynie widzami w liturgii i to okrojonej do mszy św. – właściwie nie używało się pojęcia Eucharystia. Nawet do czasu Drugiego Soboru Watykańskiego w przykazaniu kościelnym używano określenia: „wysłuchiwanie” mszy św., a nie „udziału” w niej. Takie rozumienie liturgii nie niosło w sobie żadnego odniesienia do wspólnoty, wspólnego celebrowania, czy np. uczyty, w której bierze udział cała wspólnota Kościoła. Właściwie wszystko zostało sprowadzone do moralności i z tej też racji nawet dostęp do komunii był wyraźnie

ograniczany z obawy o to, by ktoś „niegodny” nie sprofanował Ciała Pańskiego. I tak np. nawet tak pobożne kobiety, jak św. Teresa z Lisieux mogły jedynie marzyć o codziennej komunii bez uzyskania na nią zgody(!).

W tradycji monastycznej liturgia godzin, czyli wspólne recytowanie lub śpiewanie psalmów i hymnów poza oddawaniem czci Bogu było ćwiczeniem, w którym mnich uczył się dialogu z Bogiem i jego języka. Cały swój wysiłek podczas recytacji psalmów powinien koncentrować wokół otwarcia serca:

Zastanówmy się zatem, jak należy zachowywać się w obliczu Boga i Jego aniołów, i tak śpiewajmy psalmy, aby **nasze serce było w zgodzie z tym, co głoszą nasze usta** (RegBen 19,6).

Wspólnota monastyczna jest wprawdzie i przede wszystkim „małym Kościołem”, który gromadzi się wokół liturgii, czyli celebrowania Bożej chwały. Wszystko inne powinno z tej chwały wyrastać i ku niej prowadzić.

Jeżeli spojrzymy na małżeństwo, to w chrześcijaństwie jest ono sakramentem, czyli znakiem i narzędziem zjednoczenia z Bogiem. U źródeł chrześcijańskiego przeżywania małżeństwa powinno istnieć zatem odniesienie do Boga i wspólne szukanie Jego misterium obecnego w życiu małżonków. Święty Paweł w 5. rozdziale Listu do Efezjan

wyraźnie wzywa do czci Pana Jezusa: *Dziękujcie zawsze za wszystko Bogu Ojcu w imię Pana naszego Jezusa Chrystusa!* (Ef 5,20). Dalej mówi: *Dlatego opuści człowiek ojca i matkę, a połączy się z żoną swoją, i będą dwoje jednym ciałem. Tajemnica to wielka, a ja mówię: w odniesieniu do Chrystusa i do Kościoła* (Ef 5,31n). Nawiązuje w ten sposób do starotestamentowego obrazu więzi Boga-Oblubieńca z Izraelem-Oblubienicą, odnosząc ten obraz do Chrystusa-Oblubieńca i Kościoła-Oblubienicy. Samo małżeństwo zawiera w sobie wielkie wezwanie do wspólnej liturgii i w niej powinno odnajdować swoją tożsamość.

Pewnie taki wniosek wyda się dziwny, bo, praktycznie rzecz biorąc, prawie nikt tego tak nie rozumie i, co najważniejsze, nie korzysta z tego w swoim życiu. Oczywiście małżonkowie zatroskani o utrzymanie rodziny nie mogą się modlić tak często jak mnisi w klasztorze. Ale nie znaczy to, że nie mogą tego robić przynajmniej w minimalnym wymiarze. Wydaje się, że Liturgiczna Modlitwa na zakończenie dnia (Kompleta) jest doskonałą modlitwą małżeńską i rodzinną, którą większość małżeństw mogłaby wspólnie odmawiać, gdyby odpowiednio ułożyli sobie dzień. Natomiast małżonkowie, którzy wypełnili swoje podstawowe obowiązki rodziców, po przejściu na emeryturę mogą mieć dostatecznie dużo czasu, żeby wspól-

nie odmawiać całą Liturgię godzin. Istnieją takie małżeństwa, które to robią.

Nie piszemy tego w duchu wezwania moralnego. Zwracamy uwagę na fundamentalną prawdę odnoszącą się do życia we wszystkich jego wymiarach: jeżeli nie będziemy się właściwie karmili, umrzemy z głodu. W wymiarze duchowym i życia we wspólnocie konieczne jest sięganie do samych źródeł – do Boga i Jego słowa. Liturgia godzin, jeżeli patrzymy na nią od strony człowieka, jest rozłożonym w czasie karmieniem się Bożym słowem. Kiedy ją systematycznie odmawiamy we wspólnocie, Boże słowo wchodzi do naszego serca i powoli staje się naszym życiem. W *Prologu do Reguły* św. Benedykt wzywa, byśmy dali się porwać Bożemu słowu i jego głębi. Przy czym samo wezwanie, wręcz gorący apel, rodzi się z osobistego doświadczenia liturgii. Ułożone jest ono w dialog, w którym Boże wezwanie stanowią wersety z Pisma Świętego używane w liturgii, przede wszystkim psalmy. W ten sposób odsłania się zasadniczy cel i perspektywę duchowej pracy:

Powstańmy więc wreszcie, skoro Pismo Święte zachęca nas słowami: *Teraz nadeszła dla nas godzina powstania ze snu* (Rz 13,11). Otwórzmy nasze oczy na przebóstwiający światło, a nasze uszy na głos Boży, który nas codziennie napomina wołając: *Obyście usłyszeli dzisiaj głos Jego: nie zatwardzajcie serc waszych* (Ps 96,8). I znowu: *Kto ma uszy, nie-*

chaj posłyszycy, co mówi Duch do Kościołów (Ap 2,7). A co mówi? Pójdźcie, synowie, słuchajcie mnie, nauczę was bojaźni Pańskiej. Biegnijcie, dopóki macie światłość życia, aby ciemności śmierci was nie ogarnęły (Ps 34[33],12; J 12,35)”. „Pośród licznego tłumu, któremu Pan mówi te słowa, szuka On sobie współpracownika i raz jeszcze powtarza: Któż jest człowiekiem, co miłuje życie i pragnie widzieć dni szczęśliwe? (Ps 33,13 Wlg). Jeśli słysząc to, odpowiesz: „Ja”, rzecze ci Bóg: Skoro chcesz mieć prawdziwe i wieczne życie, powściągnij swój język od złego, od słów podstępnych twe wargi. Odstąp od złego, czyń dobro; szukaj pokoju, idź za nim (Ps 34[33],14–15). Gdy tak będziecie postępować, oczy Moje zwrócone będą na was, a uszy moje otwarte na prośby wasze. I zanim mnie wezwiecie, powiem: «Oto jestem» (Iz 58,9). Cóż dla nas miłszego, bracia najdrożsi, nad ten Boży głos zaproszenia? Oto w swej łaskawości Pan sam ukazuje nam drogę życia (RegBen Prol 8–20).

Liturgia jest tutaj zasadniczą praktyką duchową: Dać się porwać Słowu Bożemu i jego głębi! Cytaty z Biblii w tym fragmencie zasadniczo pochodzą z psalmów codziennie recytowanych w chórze przez mnichów. Serce, które ma iść za tym, co głoszą usta, powinno być wsłuchane w głos Boga, by na ten głos odpowiedzieć. Podobne wezwanie znajdujemy u św. Pawła w jego nauce o zasadach życia we wspólnocie uczniów Chrystusa:

Słowo Chrystusa niech w was mieszka w *całym* swym bogactwie: z całą mądrością nauczajcie i napolominajcie siebie, psalmami, hymnami, pieśniami pełnymi ducha, pod wpływem łaski śpiewając Bogu w waszych sercach (Kol 3,16; zob. Ef 5,19).

Przytoczony fragment z *Reguły* św. Benedykta nie tylko jest wezwaniem, ale stanowi jednocześnie świadectwo wewnętrznego dialogu, do jakiego prowadzi autentyczne przeżywanie Liturgii godzin. W nim dokonuje się odkrycie prawdziwego „ja”, którym nas Bóg obdarował, „ja” które budzi się jako odpowiedź na Jego wezwanie.

Św. Benedykt, omawiając potem porządek odmawiania tekstów w poszczególnych godzinach kanonicznych, pisze np.:

Zarówno Jutrznia jak i Nieszpory powinny kończyć się zawsze Modlitwą Pańską, odmawianą w całości przez przełożonego tak, by wszyscy słyszeli, a to ze względu na ciernie wzajemnych uraz, które bardzo często wyrastają.¹³ Bracia bowiem łatwiej oczyszczają się z tego rodzaju błędów, kiedy zobowiązują się wspólnie słowami tej modlitwy: *Odpuść nam, jako i my odpuszczamy* (Mt 6,12) (RegBen 13,12–13).

Widać stąd, jak słowa wypowiedane podczas liturgii, niosą dla nas bardzo konkretne wezwanie od Boga, które winniśmy codziennie przyjmować i na nie odpowiadać.

Zauważmy, że Liturgia godzin tak rozumiana, ma przypominać w pewnym aspekcie *lectio divi-*

na – Boże czytanie, którego istotą jest wsłuchanie się w Boże Słowo po to, by ono zabrzmiało w naszym sercu i byśmy na nie odpowiedzieli wpierw naszym zrozumieniem, a następnie przemianą serca wyrażającą się przemianą naszej postawy. Jednak poza tym ma ona funkcję jednoczenia nas z Chrystusem i z sobą nawzajem we wspólnym uwielbieniu Boga – źródła i dawcy życia.

Drugie kryterium rozpoznawcze, czy prawdziwie szuka Boga, odnosi się do **posłuszeństwa**. Jego pierwszym stopniem jest prawdziwe słuchanie Boga w Jego słowie. W liturgii takie słuchanie uzyskuje szczególną moc. Musi się jednak ono wyrazić, zgodnie z przytoczonym dialogiem, osobistą odpowiedzią. Jeżeli autentycznie słuchamy, zaczynamy słyszeć bardzo osobiste wezwanie, które się domaga naszej odpowiedzi. Największą przeszkodą, aby taką odpowiedź dać, jest lęk przed utratą czegoś własnego. W Ewangelii Pan Jezus powiedział bardzo zdecydowanie w przytoczonych już wyżej słowach:

Bo kto chce zachować swoje życie, straci je; a kto straci swe życie z powodu Mnie i Ewangelii, zachowa je. Cóż bowiem za korzyść stanowi dla człowieka zyskać świat cały, a swoją duszę utracić? (Mk 8,35n).

Jeżeli prawdziwie szukamy Boga, musimy się zmierzyć z tym lękiem i zdecydować się, czy pój-

dziemy za własnymi chęciami, czy rozpoznając w nich zasadniczą przeszkodę w drodze do Boga, otworzymy się na posłuszeństwo. Na początku *Prologu do Reguły* św. Benedykt pisze o tym wyraźnie:

Do ciebie więc kieruję teraz moje słowa, kimkolwiek jesteś ty, co wyrzekasz się własnych chęci, a chcąc służyć pod rozkazami Chrystusa Pana, prawdziwego Króla, przywdziewasz potężną i świętą zbroję posłuszeństwa (RegBen Prol 3).

Posłuszeństwo jest wysiłkiem wsłuchiwania się w Bożą wolę. Jak ją jednak odnaleźć i rozpoznać? Nie jest to łatwe. Wobec istniejącego w nas ogromnego chaosu myśli i napięć niełatwo rozpoznać to, co pochodzi od Boga, a co od nas i naszych pragnień. Posłuszeństwo drugiemu człowiekowi staje się narzędziem do zdystansowania się wobec własnej woli, która zasadniczo zaburza zdolność poznania prawdy.

Aby zrozumieć sens posłuszeństwa, trzeba sobie zdać sprawę z ogromnej siły naszych pragnień i ich wpływu na nasze poznanie. Najczęściej jednak brak nam takiego rozeznania. Spontanicznie uważamy, że mamy dobrą wolę i nawet, gdybyśmy się mylili, to przecież nasza dobra wola nas rozgrzesza (podejście moralne). Pomijając już fakt, że, nawet mając „dobrą wolę”, można popełnić największe grzechy, nasza „dobra wola” często

jest sterowana nieuświadomionymi pożądaniami i mechanizmami obronnymi – o czym pisaliśmy już wcześniej, mówiąc o dobrych intencjach i możliwości wykorzystania ich przez Złego. Musimy to w sobie rozpoznać, abyśmy wiedzieli, kim naprawdę jesteśmy. Dopóki nasze pragnienia kierują myśleniem – powszechnie doświadczamy u wielu ludzi myślenia sterowanego życzeniami – brak nam właściwego dystansu do własnej subiektywności, aby zobaczyć prawdę w czystym, nieskałanym świetle. Posłuszeństwo jest najmocniejszym narzędziem uwalniania się od własnych chęci.

Czynić własną wolę zabrania nam Pismo Święte słowami: *Powstrzymaj się od twoich pożądań* (Syryjczyki 18,30). Podobnie też prosimy Boga w modlitwie, by Jego wola w nas się wypełniała. Słusznie nas zatem uczą, byśmy nie czynili naszej woli. W ten sposób unikamy tego niebezpieczeństwa, o którym mówi Pismo Święte: *Jest droga, co zdaje się słuszna, a w końcu prowadzi do śmierci* (Prz 16,25). Lękamy się również tego, co zostało powiedziane o niedbałych: *Zepsuci są i stali się wstrętni w swoich chęciach* (Ps 52,2 Wlg) (RegBen 7,19–22).

W życiu klasztorным posłuszeństwo obowiązuje wobec przełożonych. W życiu rodzinnym mówi się o posłuszeństwie dzieci względem rodziców. Ale nie mówi się o posłuszeństwie samych rodziców. Komu oni winni być posłuszni? Święty Benedykt

w jednym z końcowych rozdziałów swojej *Reguły* pisze o posłuszeństwie wzajemnym wśród braci:

Wszyscy powinni okazywać posłuszeństwo, które jest wielkim dobrem, nie tylko samemu opatowi, lecz w tymże duchu bracia niechaj będą posłuszni także sobie nawzajem wiedząc, że właśnie drogą posłuszeństwa mają iść do Boga (RegBen 71,1–2).

Tak mocno podkreślana potrzeba posłuszeństwa wynika ze zrozumienia tajemnicy nieprawości w nas. W tym momencie warto sobie przypomnieć słowa św. Pawła z Listu do Rzymian:

Wiemy przecież, że Prawo jest duchowe. A ja jestem cielesny, zaprzędany w niewolę grzechu. ¹⁵ Nie rozumiem bowiem tego, co czynię, bo nie czynię tego, co chcę, ale to, czego nienawidzę – to właśnie czynię. ¹⁶ Jeżeli zaś czynię to, czego nie chcę, to tym samym przyznaję Prawu, że jest dobre. ¹⁷ A zatem już nie ja to czynię, ale mieszkający we mnie grzech. ¹⁸ Jestem bowiem świadom, że we mnie, to jest w moim ciele, nie mieszka dobro; bo łatwo przychodzi mi chcieć tego, co dobre, ale wykonać – nie. ¹⁹ Nie czynię bowiem dobra, którego chcę, ale czynię właśnie zło, którego nie chcę. ²⁰ Jeżeli zaś czynię to, czego nie chcę, już nie ja to czynię, ale grzech, który we mnie mieszka. ²¹ A zatem stwierdzam w sobie to prawo, że gdy chcę czynić dobro, narzuca mi się zło. ²² Albowiem wewnętrzny człowiek *we mnie* ma upodobanie zgodne z Prawem Bożym. ²³ W członkach zaś moich spostrzegam prawo inne, które toczy walkę z pra-

wem mojego umysłu i bierze mnie w niewolę pod prawo grzechu mieszkającego w moich członkach.²⁴ Nieszczęsny ja człowiek! Któż mnie wyzwoli z ciała, *co wie* ku tej śmierci? ²⁵ Dzięki niech będą Bogu przez Jezusa Chrystusa, Pana naszego! Tak więc umysłem służę Prawu Bożemu, ciałem zaś – prawu grzechu (Rz 7,14–25).

Jednak tajemnica nieprawości w nas nie sprowadza się jedynie do niezdolności czynienia dobra, które widzimy i chcielibyśmy je podejmować, ale niesie ona w sobie ciemność – niezdolność rozpoznania prawdziwej wartości, czego św. Paweł sam doświadczył, gdy jako Szaweł, będąc gorliwym młodzieńcem, prześladował Kościół. Sam o tym potem powiedział:

Słyszeliście przecież o moim postępowaniu ongiś, gdy jeszcze wyznawałem judaizm, jak z niezwykłą gorliwością zwalczałem Kościół Boży i usiłowałem go zniszczyć,¹⁴ jak w żarliwości dla judaizmu przewyższałem wielu moich rówieśników z mego narodu, jak byłem szczególnie wielkim zapaleńcem w zachowywaniu tradycji moich przodków (Ga 1,13–14).

Aby się z tej ciemności, którą Szaweł uważał przecież za jasność, wyzwolić, trzeba było doświadczenia spotkania z Jezusem pod Damaszkiem.

Gdy jednak spodobało się Temu, który wybrał mnie jeszcze w łonie matki mojej i powołał łaską swoją,¹⁶ aby objawić Syna swego we mnie, bym Ewangelię o Nim głosił poganom (Ga 1,15–16).

Jak widać, prawda nie jest nam dana od samego początku jako coś oczywistego. Nawet trzymając się „świętej tradycji”, jak to było w przypadku św. Pawła, nie mamy żadnej gwarancji, że idziemy właściwą drogą, bo ta tradycja musi mieć właściwe zrozumienie wyrażające się aktualnym odczytaniem. Spory Pana Jezusa z Żydami polegały właśnie na sposobie rozumienia i interpretacji Prawa i Proroków. Prawda do nas przychodzi od Jezusa:

Jeżeli trwacie w nauce mojej, jesteście prawdziwie moimi uczniami ³² i poznacie prawdę, a prawda was wyzwoli (J 8,31–32).

Ja jestem drogą i prawdą, i życiem. Nikt nie przychodzi do Ojca inaczej jak tylko przeze Mnie. ⁷ Gdybyście Mnie poznali, znalibyście i mego Ojca. Ale teraz już Go znacie i zobaczyliście (J 14,6–7).

Trwanie w Jego nauce nie oznacza przyjęcia Jego usystematyzowanej i zwerbalizowanej doktryny, ale otwieranie się na głębię słowa, jakie do nas kieruje. Jego prawda ma po pierwsze wymiar egzystencjalny, a ponadto nas całkowicie przerasta i wymaga zrozumienia, jakiego dzisiaj nie mamy. Dlatego potem Pan Jezus mówi:

Jeśli Mnie kto miłuje, będzie zachowywał moją naukę, a Ojciec mój umiłuje go i przyjdziemy do niego, i mieszkanie u niego uczynimy. ²⁴ Kto nie miłuje Mnie, ten nie zachowuje słów moich. A nauka,

którą słyszycie, nie jest moja, ale Tego, który Mnie posłał, Ojca. ²⁵ To wam powiedziałem, przebywając wśród was. ²⁶ A Paraklet, Duch Święty, którego Ojciec pošle w moim imieniu, On was wszystkiego nauczy i przypomni wam wszystko, co Ja wam powiedziałem (J 14,23–26).

Gdy zaś przyjdzie On, Duch Prawdy, doprowadzi was do całej prawdy. Bo nie będzie mówił od siebie, ale powie wszystko, cokolwiek usłyszycie, i oznajmi wam rzeczy przyszłe. ¹⁴ On Mnie otoczy chwałą, ponieważ z mojego weźmie i wam objawi (J 16,13–14).

W prawdę wprowadza nas Duch Święty nie przez sprecyzowaną intelektualnie i filozoficzne doktrynę, ale przez życie w miłości, która nie sprowadza się do uczucia, ale jest odpowiedzią na objawioną nam przez Jezusa prawdę o Bogu, który jest miłością, który tak nas umiłował, że *Syna swego Jednorodzonego dał, aby każdy, kto w Niego wierzy, nie zginął, ale miał życie wieczne* (J 3,16). Poznanie tej prawdy polega na wejściu w miłość:

Umilowani, miłujmy się wzajemnie,
ponieważ miłość jest z Boga,
a każdy, kto miłuje,
narodził się z Boga i zna Boga.

⁸ Kto nie miłuje, nie zna Boga,
bo Bóg jest miłością (1 J 4,7–8).

W istocie zatem zasadniczy problem polega na tym, żebyśmy pozwolili się prowadzić Duchowi

Świątemu, umieli przyjąć Jego natchnienia, które musimy nauczyć się rozpoznawać i według nich postępować. Aby do tego doszło, musimy wpierw uwolnić się od naszego zniewolenia zaborczym „ja”, od naszego ego, które dąży do zrealizowania pragnień i namiętności, jakie rozpoznaje na świecie, czyli w społeczności ludzkiej i istniejących w niej relacjach. Tym światem rządzą namiętności: *pożądliwość ciała, pożądliwość oczu i pycha tego życia* (1 J 2,16).

Zdystansowanie się do tych namiętności możemy uzyskać jedynie przez poznanie ich i wybór czegoś innego, niż nam one podpowiadają. Stąd zasada posłuszeństwa innym ludziom jest narzędziem w pracy nad uwalnianiem się od własnych chęci i upodobań.

Taki duch posłuszeństwa jest bardzo aktualny w życiu małżeńskim. W sprawach duchowych właściwie każdy chrześcijanin powinien mieć swojego kierownika duchowego i w zakresie spraw duchowych być mu posłuszny. Istotna przy tym jest zasada wolności wyboru tego kierownika. Wydaje się, że św. Benedykt, akcentując wielką wartość posłuszeństwa, nie widział zagrożenia. Prawdopodobnie zakładał, że opat lub inny brat nie manipuluje drugim, że ich polecenia czy życzenia są ze swej natury proste i nie zawierają ukrytych intencji. Niestety istnieje wiele przykładów w historii religii, gdzie

prostota i posłuszeństwo zostały wykorzystane do manipulacji i ostatecznie zniszczenia człowieka. Pan Jezus ostrzegał przed tym w Ewangelii:

Biada wam, uczeni w Piśmie i faryzeusze obłudnicy, bo zamykacie królestwo niebieskie przed ludźmi. Wy sami nie wchodziście i nie pozwalacie wejść tym, którzy do niego idą.

¹⁵ Biada wam, uczeni w Piśmie i faryzeusze obłudnicy, bo przemierzacie morze i ziemię, żeby pozyskać jednego współwyznawcę. A gdy się nim stanie, czynicie go dwakroć bardziej winnym piekła niż wy sami.

¹⁶ Biada wam, przewodnicy ślepi, którzy mówicie: „Kto by przysiągł na przybytek, nic to nie znaczy; lecz kto by przysiągł na złoto przybytku, ten jest związany przysięgą”. ¹⁷ Głupi i ślepi! Cóż bowiem jest ważniejsze, złoto czy przybytek, który uświęca złoto? ¹⁸ Dalej: „Kto by przysiągł na ołtarz, nic to nie znaczy; lecz kto by przysiągł na ofiarę, która jest na nim, ten jest związany przysięgą”. ¹⁹ Ślepcy! Cóż bowiem jest ważniejsze, ofiara czy ołtarz, który uświęca ofiarę? ²⁰ Kto więc przysięga na ołtarz, przysięga na niego i na wszystko, co na nim leży. ²¹ A kto przysięga na przybytek, przysięga na niego i na Tego, który w nim mieszka. ²² A kto przysięga na niebo, przysięga na tron Boży i na Tego, który na nim zasiada.

²³ Biada wam, uczeni w Piśmie i faryzeusze obłudnicy, bo dajecie dziesięcinę z mięty, kopru i kminku, lecz zaniedbaliście to, co ważniejsze jest

w Prawie: sprawiedliwość, miłosierdzie i wiarę. To zaś należało czynić, a tamtego nie zaniedbywać.²⁴ Ślepi przewodnicy, którzy precedzacie komara, a połykacie wielbłąda!

²⁵ Biada wam, uczeni w Piśmie i faryzeusze obłudnicy, bo dbacie o czystość zewnętrznej strony kubka i misy, a wewnątrz pełne są zdzierstwa i niepowściągliwości.²⁶ Faryzeuszu ślepy! Oczyszc wpierw wewnątrz kubka, żeby i zewnętrzna jego strona stała się czysta.

²⁷ Biada wam, uczeni w Piśmie i faryzeusze obłudnicy, bo podobni jesteście do grobów pobielanych, które z zewnątrz wyglądają pięknie, lecz wewnątrz pełne są kości trupich i wszelkiego plugactwa.²⁸ Tak i wy z zewnątrz wydajecie się ludziom sprawiedliwi, lecz wewnątrz pełni jesteście obłudy i nieprawości (Mt 23,13–28).

Wobec człowieka nasze posłuszeństwo nie może być bezwzględne. Ostatecznie instancją rozstrzygającą jest nasze **sumienie** i ono stanowi granicę posłuszeństwa drugiemu człowiekowi. Zresztą jest ono wpisane w samą ideę posłuszeństwa przez to, że jest skierowane do Boga, a drugi człowiek jest jedynie pośrednikiem. Dlatego prawdziwe posłuszeństwo musi przechodzić przez sumienie. Jak uczy nas Kościół, nie możemy czynić nic, co byłoby sprzeczne z głosem naszego sumienia.

Z drugiej jednak strony odwoływanie się do sumienia bywa wykorzystywane do realizowania

własnych chęci. Nie da się problemu rozwiązać za pomocą formalnych zasad. Nasze fałszywe „ja” potrafi w niesamowity sposób manipulować naszymi pragnieniami i myślami aż do wmówienia nam, że coś pochodzi z sumienia. Posłuszeństwo oznacza podjęcie walki z fałszywym „ja” w nas. Jest to proces nie tylko bolesny, ale właściwie to walka na śmierć i życie. Dlatego jedynie ten, kto jest wytrwały „w znoszeniu upokorzeń”, jest w stanie wejść na drogę przemiany, *metanoi*. Znoszenie upokorzeń jest oznaką prawdziwego zdecydowania, aby się nie bronić, aby nie szukać dla siebie usprawiedliwienia i potwierdzenia swoich racji. Chęć obrony siebie jest w nas ogromną siłą, która blokuje nam dojście do prawdy. Dlatego, aby wejść na drogę prawdy, potrzeba determinacji, w której najtrudniejsza jest rezygnacja ze swoich racji i obrony siebie.

W tradycji Ojców Pustyni pokora była najlepszym sprawdzianem rozpoznania autentycznej wielkości człowieka. Jeżeli komuś jej brakowało, oznaczało to, że jeszcze mu daleko do doskonałości. Człowiek autentycznie pokorny potrafi cierpliwie znosić upokorzenia.

Zdolność do przyjęcia upokorzeń bez zbaczania z drogi prawdy jest jednym z wymiarów pokory, która polega na zdolności do przyjęcia prawdy w jej egzystencjalnym wymiarze. Pokora jest najlepszym kryterium rozpoznania autentycznej

wielkości człowieka. Jeżeli brakuje nam pokory, dzięki której potrafimy przyjąć upokorzenia, oznacza to, że jeszcze dużo nam brakuje do doskonałości. Swoistym wzorem pokory jest Hiob, który po stracie całej posiadłości, jaką miał, powiedział:

Nagi wyszedłem z łona matki i nagi tam wrócę.
Dał Pan i zabrał Pan. Niech będzie imię Pańskie
błogosławione! (Hi 1,21).

A na końcu jeszcze naznaczony chorobą powiedział:

Dobro przyjęliśmy z ręki Boga. Czemu zła przyjąć
nie możemy? (Hi 2,10)

Pokora jest otwartością na Boga w Jego najgłębszej prawdzie. Bez niej nie możemy prawdziwie zbliżyć się do Niego. Krzyż odsłania przed nami prawdę o tym, że to Bóg jest pokorny, pokorny w swojej miłości do nas. On w swoim Synu przyjął na siebie fałszywe oskarżenie i jego konsekwencje, nie protestując:

Dreńczono go, lecz sam pozwolił się gnębić, nawet
nie otworzył ust swoich. Jak baranek na rzeź pro-
wadzony, jak owca niema wobec strzygących ją, tak
on nie otworzył ust swoich (Iz 53,7).

Jak potem napisał św. Paweł w Hymnie o kenozie:

Uniżył samego siebie,
stając się posłusznym aż do śmierci –
i to śmierci krzyżowej.

⁹ Dlatego też Bóg Go nad wszystko wywyższył

i darował Mu imię
ponad wszelkie imię,
¹⁰ aby na imię Jezusa
zgięto się każde kolano
istot niebieskich i ziemskich, i podziemnych.
¹¹ I aby wszelki język wyznał,
że Jezus Chrystus jest PANEM –
ku chwale Boga Ojca (Flp 2,8–11).

Na krzyżu objawiła się absolutnie czysta, bezinteresowna i pokorna miłość Boga do nas. I to ona właśnie powaliła na kolana wszystkie istoty niebieskie, ziemskie i podziemne.

Jak pycha szatańska jest największą nieprawością, tak pokorna miłość Boga jest Jego istotą i fundamentem istnienia i życia, jakie On stworzył. Dlatego też pokora została przez Ojców Pustyni uznana za najbardziej wiarygodny wskaźnik głębi duchowej człowieka.

„Nie ma pokory bez upokorzenia” – mówi stara dewiza, czyli nie możemy się nauczyć pokory bez przyjmowania upokorzeń. Stąd św. Benedykt znoszenie upokorzeń wskazuje jako najgłębsze kryterium autentycznego szukania Boga.

Założmy „szkołę służby Pańskiej”

Wymienione postawy stanowią najlepsze kryteria rozpoznawcze autentycznego szukania Boga, czyli rozpoznania wewnętrznego zdecydowania się

na pójście za Chrystusem. Trzeba jednak pamiętać, że we wspomnianym dialogu z *Prologu do Reguły* św. Benedykt pyta wprawdzie o zasadnicze dążenie serca, jakie powinno być u podstaw całego wysiłku duchowego: *Któż jest człowiekiem, co miłuje życie i pragnie widzieć dni szczęśliwe?* (RegBen Prol 15 – cytata z Ps 33,13 Wlg). Autentyczny wysiłek duchowy może wyrastać jedynie z pragnienia pełni życia. Dopiero z niego wyrasta zdecydowane szukanie Boga – źródła życia, a to zdecydowanie z kolei staje się podstawą właściwego uporządkowania własnego życia, które zawiera się w idei założenia „szkoły służby Pańskiej” (zob. RegBen Prol 45).

„Miłość życia” jest podstawą wszelkiego dialogu z Bogiem. Od niej się wszystko rozpoczyna. Znowu wydaje się, że jest to banalna prawda. Któż nie chciałby żyć?! Każdy! Tak się przynajmniej wydaje w przypadku człowieka wolnego od poważnych zaburzeń psychicznych. Ale znowu nie jest to takie oczywiste, gdy zanalizujemy nasze prawdziwe wybory. Jeżeli się zastanowimy, na przykład, co jest powodem kłótni między ludźmi, to łatwo zauważyć, że wynikają one z upartego trzymania się „swoich racji”. Sytuacja wygląda szczególnie dramatycznie, gdy zdarza się to w życiu rodzinnym. Rodzina jest wspólnotą życia. Jej członkowie żyją ze sobą na co dzień. Jakość ich życia zależy od wzajemnych relacji. Im te relacje są bardziej

otwarte, pełne miłości, tym życie jest pełniejsze i szczęśliwsze. I odwrotnie, im więcej nieporozumień i wzajemnych niechęci, tym życie jest trudniejsze do zniesienia, a czasem, gdy istnieje wzajemna nienawiść, wręcz staje się koszmarem.

Czy żyjący w rodzinie rzeczywiście „miłują życie i pragną dni, by zażywać szczęścia”, gdy trwają uparcie we wzajemnych urazach? Pewnie każdy z nich powie, że pragnie pełni życia, ale to drugi jest winien. Wina zazwyczaj leży po obu stronach, a to znaczy, że trzeba szukać porozumienia, wysłuchać drugiego i starać się go zrozumieć, stąd można dojść, na czym polega nieporozumienie. Jeżeli jednak upierają się przy swoim, nie widać, aby szukali prawdy i porozumienia i jedności. Okazuje się zatem, że nie pragnienie życia jest dla nich najważniejsze. A zatem co? Własne racje, poczucie własnej sprawiedliwości, niewinności, mądrości. Zasadnicza argumentacja uzasadniająca niechęć, czy „słuszny gniew” na drugiego opiera się na przekonaniu, że „on jest winny, a ja niewinny”. A przecież człowiek, trzymając się swojego „słusznego gniewu”, zaprzepaszcza w sobie i w drugim szansę na radość życia. Dlaczego tego nie widzi i nie obudzi się, i nie powie sobie: „przecież życie jest czymś ważniejszym i o wiele głębszym od racji. Szukajmy życia, a nie swojej niewinności, potwierdzenia własnej wartości, racji...”

W *Regule* św. Benedykta pragnienie życia zostało przełożone na konkretny program, na takie ułożenie życia, aby wszystkie jego czynności były ukierunkowane na spotkanie z Bogiem. Tę myśl wyraża hasło: „Aby we wszystkim Bóg był uwielbiony” (RegBen 57,9), które Święty napisał, mówiąc o zupełnie prozaicznym zajęciu, jakim jest sprzedaż własnych produktów. Zazwyczaj kojarzy się benedyktynów z innym hasłem: „módl się i pracuj”. Nie znajdujemy go w *Regule*. Powstało ono jako streszczenie idei życia w harmonii pomiędzy modlitwą i pracą, jaką znajdujemy w *Regule*. Harmonia nie ogranicza się jedynie do tych dwóch wymiarów. Świętemu Benedyktowi zależy na harmonii całości życia, które poza pracą i modlitwą obejmuje czas odpoczynku, lekturę, kontakty międzypersonalne, posiłki itd. Dlatego jego własne hasło „**Aby we wszystkim Bóg był uwielbiony**” lepiej oddaje jego zamysł.

Zauważmy, że taką harmonię można, a nawet trzeba, realizować niezależnie od rodzaju powołania. Nie trzeba być mnichem, aby czcić Boga we wszystkich wymiarach życia. Takie uwielbienie oddaje Bogu matka, które pielęgnuje swoje dziecko, ojciec, który ciężko pracuje, aby swojej rodzinie zapewnić utrzymanie, o ile mają świadomość i ducha uwielbienia. Podobnie lekarz, pielęgniarka, nauczyciel... Można wszystko robić z musu lub me-

chanicznie ewentualnie po to, by uzyskać uznanie dla siebie. Można jednak pracować w duchu służby i uwielbienia Boga. Ducha służby nie da się pogodzić z noszeniem w sobie pretensji i roszczeń. Natomiast pobudza on do znajdowania w ciągu dnia przynajmniej chwili czasu poświęconego wyłącznie Bogu, aby Mu podziękować i uwielbić Go.

Aby praca i w ogóle wszystkie codzienne czynności mogły stać się sposobną chwilą na spotkanie Boga, potrzeba nie tyle szczególnych warunków zewnętrznych, jakie można stworzyć np. w klasztorze, ale właściwej postawy wewnętrznej. Można ją w sobie wyrabiać przez wytrwałe trzymanie się określonych zasad postępowania.

W pierwszym rozdziale *Reguły* św. Benedykt pisze, dla kogo jest przeznaczona: dla cenobitów, którzy żyją w klasztorze i pełnią służbę pod regułą i opatem (zob. RegBen 1,1n). Według niego te trzy wymiary są najważniejsze przy poważnym podejmowaniu życia duchowego. Wymienione są: „życie w klasztorze”, czyli we **wspólnocie**, dalej według **reguły** i pod **opatem**. Są to trzy filary, na których wznosi się cała konstrukcja życia wspólnotowego. Brak któregoś z nich powoduje poważne skutki. Stąd św. Benedykt bardzo negatywnie ocena sarabaitów, którzy według niego są „całkiem obrzydliwym rodzajem mnichów” (RegBen 1,6). Przyczyną jest to, że:

Żadna reguła nie była im mistrzynią i nie wypróbowała ich jak złoto w ogniu. ... Prawem ich jest zaspokajanie swych pragnień. Cokolwiek sobie zamyślą lub co wybiorą, to mianują świętym, a czego nie chcą, to uważają za niedozwolone (RB 1,6.8–9).

Brak reguły i przełożonego, nawet przy wspólnym życiu, jest godne pożałowania i nie prowadzi autentycznie do Boga. Jeszcze mocniej podkreśla to tekst odnoszący się do mnichów wędrownych, którzy:

Przez całe życie wędrują po różnych okolicach, goszcząc po trzy lub cztery dni w rozmaitych klasztorach. Zawsze się włączają, pozbawieni wszelkiej stałości, a służą tylko własnym zachciankom i rozkoszom podniebienia, pod każdym względem gorsi jeszcze od sarabaitów (RB 1,10n).

Każdy człowiek żyje według jakiejś reguły, czy tego chce, czy nie, czy sobie to uświadamia, czy nie. Niewątpliwie ci, co sobie tego nie uświadamiają, podlegają najgorszej z reguł – nieznaney im i dlatego ciemnej, kapryśnej, bezwzględnej i nie wiadomo dokąd prowadzącej.

Reguła jest drogowskazem, przewodniczką na drodze, którą idziemy. Z taką myślą podejmowali swoje życie pierwsi mnisi. Każdy z nich, albo przynajmniej różne grupy miały swoją regułę. W Apoftegmatach odnajdujemy wskazanie, jakie anioł dał św. Antoniemu, uznanemu za ojca życia monastycznego:

Święty Antoni, kiedy mieszkał na pustyni, popadł raz w zniechęcenie i wielką ciemność wewnętrzną. I powiedział do Boga: „Panie, chcę się zbawić, ale mi myśli nie pozwalają: co mam robić w tym utrapieniu? Jak się zbawić?”. I chwilę potem, wyszedłszy na zewnątrz, zobaczył Antoni kogoś podobnego do siebie, kto siedział i pracował, potem wstawał od pracy i modlił się, a potem znowu siadał i plótł linę, i znów wstawał do modlitwy. A był to anioł Pański, wysłany po to, by go pouczyć i umocnić. I usłyszał Antoni głos anioła: „**Tak rób, a będziesz zbawiony**”. Gdy to usłyszał odczuł wielką radość i ufność; a robiąc tak, osiągnął zbawienie (1 Apo 1 Antoni 1).

„Tak rób, a będziesz zbawiony”. To zalecenie anioła stało się regułą jego życia. Reguła nie odnosi się do dowolnych prawideł postępowania, ale tych, które prowadzą do zbawienia. Wskazuje ona drogę życia przez praktykę pozwalającą doświadczyć siebie i obecnego Boga. Pierwszy okres monastycznego życia na pustyni egipskiej był jakimś wielkim doświadczeniem, cennym nie tylko dla żyjących tam mnichów, ale pozostał cenny dla całego Kościoła. Właściwie można by cały ruch monastyczny, szczególnie od III do IV wieku, uznać za wielki eksperyment, swoiste „laboratorium”, w którym przez wyeliminowanie rozmaitych drugorzędnych uwarunkowań, przez radykalizm i podejmowanie przez mnichów przeróżnych zasad życia, pozwoliło doświadczalnie sprawdzić, co jest wła-

ściwą regułą życia, czyli co prawdziwie prowadzi do pełni życia. Z tego doświadczenia wyrastały następne reguły i wskazania, w klasztorach Wschodu i Zachodu. *Reguła św. Benedykta* do nich należy.

Warto sobie uświadomić, że nie jesteśmy sami na drodze do Boga, nie jesteśmy pierwsi i nie musimy „odkrywać Ameryki”, bo to już ktoś zrobił. Otrzymaliśmy sprawdzoną regułę życia. Szło nią już przed nami bardzo wielu ludzi. Podobnie jak inne reguły wskazuje ona zasady życia, jego organizację i normy postępowania, których celem jest zapewnienie jak najlepszego wypełnienia wskazań Ewangelii. Jedynym Mistrzem jest Jezus Chrystus, Syn Boga, On sam stał się dla chrześcijanina jedyną Regułą i Normą życia. Jego Ewangelia jest nie tylko radosnym orędziem o zbawieniu, ale i zasadą życia, i to jedyną prowadzącą do zbawienia.

Istnieje wiele reguł życia. Jednak dobra reguła napisana przez człowieka zawsze musi być wewnętrznie spójna oraz w swoich założeniach, idei i celach skierowana ku Bogu i musi dobrze wprowadzać zasady Ewangelii w życie. Człowiek, który pragnie według niej żyć, musi prawdziwie szukać Boga. Jeżeli spełnia to podstawowe wymaganie, najbardziej potrzebna pozostaje dla niego **konsekwencja i wytrwałość**. W *Regule św. Benedykta* wyraża tę postawę *stabilitas* – pierwszy ślub monastyczny. Choćby przyjęta przez nas reguła nie była

najlepszą z możliwych, to jedynie jej konsekwentne zachowanie przyniesie nam dobre owoce i doprowadzi do prawdziwego wzrostu. Znamy dobrze z praktyki, że jeżeli nawet wybierzemy gorszą drogę do celu, a po czasie zorientujemy się, że nie jest ona najlepsza, to jednak warto iść nią konsekwentnie, bo szukanie tak zwanych „skrótów” może nas zupełnie wyprowadzić na manowce. Oczywiście warunkiem jest to, że ta „droga gorsza” nie jest drogą złą, prowadzącą na manowce, ale jednak do celu, lecz mniej wygodnie i może nieco trudniej niż ta „lepsza”. Ojcowie Pustyni żyli według bardzo lapidarnie sformułowanych reguł, których byśmy dzisiaj nie uznali za najlepsze, ale ich wiara i konsekwencja w realizowaniu zasad tych prymitywnych reguł powodowały, że osiągnęli świętość.

Konsekwencja i wytrwałość są podstawowymi cnotami koniecznymi, by obrana droga według reguły życia prawdziwie zaowocowała. Tak się dzieje we wszystkich powołaniach. W małżeństwie jest ona tak samo konieczna jak w życiu zakonnym. Zresztą ślub małżeński właśnie na nie kładzie nacisk: „ślubuję ci miłość, wierność i to, że cię nie opuszczę aż do śmierci”. Aby małżeństwo było udane, potrzeba wytrwałości i wierności wzajemnemu postanowieniu.

Małżeństwo jest wspólnotą, która rządzi się określonymi zasadami. Oczywiście różne małżeń-

stwa mogą mieć nieco odmienne „reguły życia”, co zależy od tego, kim są małżonkowie, co chcą w życiu osiągnąć, w jakim środowisku żyją, jakie są ich powiązania z innymi ludźmi itd. Jednak ta odmienność odnosi się do spraw organizacyjnych, sposobów wyrażania i realizowania jedności dwojga, podziału zadań i ról w utrzymywaniu rodziny i wychowywaniu dzieci... Niemniej pewne ogólne zasady życia w zdrowym małżeństwie są stałe i niewzruszone i od konsekwencji w odniesieniu do nich zależy szczęście i zrealizowanie siebie.

I tak np. mąż nie może się zachowywać tak jak kawaler, a żona jak panna. Już samo to stanowiłoby swoistą zdradę małżeństwa, czyli jedności dwojga. Podobnie żonaty mężczyzna nie może być mnichem, a mężatka nie może być zakonnica, gdyż są to rozłączne drogi. Taka możliwość pojawia się wówczas, gdy jako mąż i żona wypełnili podstawowe zadania życiowe: doświadczyli jedności dwojga, wychowali dzieci i po dłuższym czasie doszli do wniosku, że pragną oddać się jedynie służbie Bogu. Są to jednak wyjątkowe sytuacje i należałoby się zastanowić, czy nie lepiej dla nich podjąć wspólnie życie na wzór monastyczny w swoim domu?

Zazwyczaj jednak, kiedy wybieramy drogę życia małżeńskiego, nie możemy być mnichami i odwrotnie, wybierając życie monastyczne, nie możemy żyć w małżeństwie. Są to rozłączne dro-

gi, ale nie znaczy, że jedna jest dobra, a druga zła. Oznacza to tylko, że wybierając jedną lub drugą drogę, przyjmujemy inną regułę życia, której trzeba być wiernym.

Brak konsekwencji i wytrwałości stanowią powód, dla którego św. Benedykt tak ostro ocenia sarabaitów i mnichów wędrownych. Przez brak stałości wystawiali się oni na pokusy Szatana, na podsuwane przez niego zwodnicze myśli. Przy czym nie chodzi o same myśli, które wprost prowadzą do zła, bo np. pójście gdzieś indziej, nie jest czymś ze swej natury złym, ale odwodzi mnicha od konsekwentnego doświadczenia czegoś, co można osiągnąć jedynie przez wytrwałość. Jedynie ona pozwala doświadczyć zbawczej mocy krzyża. Jeżeli człowiek przed nim się uchyła, traci to, co krzyż wnosi w życie: wzrost w dojrzałości. Dlatego św. Benedykt pisze zdecydowanie:

We wszystkim więc niech wszyscy idą za *Regułą*,
jak za mistrzynią, i niech nikt lekkomyślnie od niej
nie odstępuje (RB 3,7).

Wytrwałość i wierność regule nie oznacza jednak ślepego, literalnego trzymania się jej przepisów. W Nowym Testamencie Pan Jezus, a za Nim św. Paweł bardzo ostro krytykowali literalne traktowanie samego Prawa Bożego. Tym bardziej dotyczy to wszelkich reguł napisanych przez człowieka. Literalne, ślepe trzymanie się przepisów jest naj-

częściej wyrazem ucieczki od odpowiedzialności. Reguła jest mądrością życiową, a nie normą absolutną. Dla każdego człowieka, jak naucza teologia moralna, normą rozstrzygającą jest **sumienie**. Nawet jeżeli byłoby ono źle ukształtowane, pozostaje normą najważniejszą dla naszego życia. Sumienie właściwie rozumiane zawsze odwołuje się do odpowiedzialności i indywidualnego traktowania każdej sytuacji. Reguła daje nam ogólne wskazania i zasady postępowania. Najistotniejszy jest duch, w jakim wypełnia się zalecenia reguły. Na to wskazuje Pan Jezus, cytując słowa proroka Ozeasza: *Chcę raczej miłosierdzia niż ofiary* (Mt 9,13; 12,7).

Pragnienie życia w konkretnej wspólnocie pod rządami opata i jasną regułą daje człowiekowi możliwość poznania prawdy o swoim sercu. Wspólnota, opat, reguła, posłuszeństwo, wytrwałość, stałość i wierność tworzą ramy, które trzeba indywidualnie wypełnić treścią. Tą treścią jest żywa relacja z Chrystusem, którą uzyskujemy przez:

- autentyczny udział w liturgii,
- trwanie w milczeniu jako skupieniu się w słuchaniu nastawionym na serce i sumienie,
- praktykę *lectio divina* – czytanie Pisma Świętego i właściwych tekstów duchowych,
- osobistą modlitwę, która jest „żywym i osobistym związkiem z Bogiem żywym i prawdziwym” (KKK 2558),

- pielęgnowanie w sobie szacunku do drugiego człowieka wyrażającego się w konkretnych spotkaniach,
- pracę z całą starannością tak, jak gdyby była wykonywana dla Boga,
- nieustanną postawę ucznia, który widzi, że nie jest jeszcze doskonały,
- ciągłą pamięć na obecność Boga i świadomość swojej przyszłej śmierci, która będzie spotkaniem z Ojcem.

Ponieważ w duchowej perspektywie według św. Benedykta celem jest harmonia całego życia, a nie jakaś pojedyncza cnota, w pracy duchowej potrzeba ćwiczyć się we wszystkich tych praktykach. Nie wystarczy dobre opanowanie jednej. Jednocześnie nie potrzeba nadzwyczajnych wymagań w jakiejś dziedzinie, ale harmonia wszystkich wymiarów życia z uwzględnieniem ich właściwej hierarchii. Zazwyczaj wolelibyśmy bardzo konkretne wymaganie, choćby bardzo ostre, ale konkretne. Łatwiej nam takie wymaganie wypełnić. Natomiast dbałość o harmonię wszystkiego bez wyróżniania czegoś jednego okazuje się o wiele trudniejsza. Przede wszystkim wydaje się to nieatrakcyjne i nudne. Dlatego taka propozycja pozostaje często w ogóle nie zauważona.

Propozycja duchowości monastycznej dla świeckich jest jeszcze z innej racji mało atrakcyj-

na. Wydaje się bowiem banalnie prosta i w pewnym sensie oczywista. Ale właśnie na tym polega jej największa wartość. Monastycyzm nie jest bowiem niczym nadzwyczajnym. **Mnich jest po prostu chrześcijaninem**, który pragnie konsekwentnie żyć prawdą Ewangelii. Jedyne, co go odróżnia od innych ludzi, to jego bezżenność. Samotność, jaką wybrał, stała się dla niego sposobnością do konsekwentnego doświadczenia prawdy Ewangelii. Dzisiaj to jego doświadczenie może stać się inspiracją dla każdego chrześcijanina. Okazuje się bowiem, że to, co najprostsze, bywa w życiu najtrudniejsze. Prostota i szczerłość zachowania zasad życia ewangelicznego stale napotyka w życiu niezliczone przeszkody. Monastycyzm polega na stałości, na konsekwentnym praktykowaniu zasad życia chrześcijańskiego, na życiu ewangeliczną nadzieją i wcielaniu jej we własną codzienność.

Mnisi dla świeckich

W czym mnisi mogą pomóc osobom świeckim w kształtowaniu ich ducha? Przede wszystkim powinni oni być żywymi świadkami prawdziwości Ewangelii i „ekspertami” w odczytywaniu obecności Boga w życiu na co dzień. Właściwym miejscem, w którym to świadectwo się ujawnia, jest wspólnota klasztorna. Dlatego mnisi nie tyle wychodzą do ludzi, aby im głosić Chrystusa, ale

zapraszają ich do klasztoru, aby goście sami doświadczyli wartości liturgii, osobistej modlitwy, milczenia, porządku dnia, harmonii... Głoszenie słowa powinno wyrastać z osobistego doświadczenia i być skierowane do konkretnego człowieka.

Podstawowym wymiarem duszpasterstwa jest stałe świadectwo i włączenie osób świeckich w doświadczenie życia klasztornego. Od wieków istnieją przy klasztorach benedyktyńskich oblaci świeccy. Jest to forma życia *Regułą* św. Benedykta w życiu świeckim. Oblaci są związani z konkretną wspólnotą benedyktyńską, z której mogą czerpać tradycję i odnajdywać wsparcie duchowe. Tworzą oni przy klasztorach wspólnoty o różnym stopniu zażyłości.

Jednak nie tylko oblaci mogą korzystać z mądrości duchowej św. Benedykta. Od samego początku klasztory benedyktyńskie były otwarte na przyjmowanie gości i pielgrzymów. Przyjmowanie tych ludzi było ich zasadniczą formą pracy duszpasterskiej. Dzisiaj przychodzący goście to raczej nie wędrowni pielgrzymi, ale ludzie szukający wytchnienia i warunków do nawiązania kontaktu z sobą i Bogiem. Dom gości klasztoru benedyktyńskiego jest otwarty dla takich ludzi niezależnie od tego, jak są blisko Boga lub jak daleko od Niego odeszli. W klasztorze mają oni szansę otworzyć się na wewnętrzny dialog z sobą i Bogiem, gdzie może „sam

pod okiem najwyższego Świadka mieszkać ze sobą” – jak św. Grzegorz Wielki napisał o św. Benedykcie.

W Tyńcu, na wzór innych klasztorów, wprowadzono tak zwany staż, który polega na dopuszczeniu człowieka świeckiego na jakiś czas do życia w klasztorze na prawach mnicha. Jest to szczególne doświadczenie dające pełnię doświadczenia życia w klasztorze. Zwykle jednak indywidualni goście przebywają po kilka dni w domu gości, mając okazję do udziału w liturgii i porządku dnia. Mogą się oni włączyć w pracę w klasztorze lub indywidualnie wykorzystać czas dla siebie. Nie narzuca się im żadnych konferencji, spotkań, ćwiczeń itp. Zawsze jednak gość może poprosić o spotkanie i rozmowę.

Poza indywidualnym pobytem organizuje się w domu gości różne serie rekolekcji z konferencjami i ćwiczeniami. Zawsze jednak grupy rekolekcyjne włączają się we wspólną liturgię.

Najszerze oddziaływanie ma jednak stałe celebrowanie liturgii dostępne dla wszystkich odwiedzających klasztor. Wysłuchane Nieszpory lub udział w Mszy św. celebrowanej godnie ma ogromną wartość.

Zupełnie innym sposobem oddziaływania są zaangażowania zewnętrzne: rekolekcje prowadzone poza klasztorem, udział w programach TV i radiu, artykuły w prasie oraz publikacje książkowe

i audio-video. Wszystkie te formy powinny wskazywać na podstawową mądrość: życie w harmonii zgodnie z Ewangelią.

Na zakończenie naszych refleksji wróćmy do myśli papieża Benedykta XVI:

Istnieje pewien typowy aspekt jego [tj. św. Benedykta] duchowości, który chciałbym dzisiaj szczególnie podkreślić. Benedykt nie założył instytucji monastycznej, mającej na celu głównie ewangelizację narodów barbarzyńskich, jak inni wielcy mnisi misjonarze tamtych czasów, lecz wskazał swym uczniom jako główny, co więcej – jedyny cel istnienia szukanie Boga: „Quaerere Deum”. Wiedział jednak, że kiedy wierzący nawiązuje głęboką relację z Bogiem, nie może zadowolić się przeciętnym życiem pod znakiem etyki minimalistycznej i powierzchownej pobożności. W tym świetle lepiej można zrozumieć wyrażenie, które Benedykt zapożyczył od św. Cypriana i które streszcza w jego „Regule” (IV, 21) program życia mnichów: „Nihil amori Christi praeponere” - „Niczego nie stawiać ponad miłość Chrystusa”. Na tym polega świętość, propozycja dotycząca każdego chrześcijanina, która stała się prawdziwą palącą potrzebą duszpasterską w naszych czasach, w których odczuwa się potrzebę zakorzenienia życia i historii w trwałych odniesieniach duchowych (10.07.2005).

